

# ODRODZENIE

## TYGODNIK

Rok III

Kraków, dnia 10 listopada 1946 r.

Nr 45 (102)

KSAWERY PRUSZYŃSKI

# GDAŃSKIE DZIŚ WIDMO

Latem 1939 roku wielkie ówczesne pismo polskie wysłało mnie do pewnego miasta, którego nazwę wymieniał od kilku tygodni komunikaty prasowe całego świata i łączyły ją ze słowem „wojna“.

Nazwa tego miasta nabrała wtedy złowieszczej i aktualnej wymowy, a jego hotele były pełne cudzoziemskich dziennikarzy i dziennikarce ci biegali to do jednej, to do drugiej, to do trzeciej z różnorakich międzynarodowych władz tego miasta, przeprowadzali wywiady z tymi, innymi i trzecimi, żyli nie dniem, ale godziną, minutą, i każdego dnia zamykali się na całe godziny w ciasnych budkach telefonicznych, skąd najbliższe otoczenie widzi się tylko przez szybę, ale skąd mówi się za to, drogą kabla, do bardzo wielkich, dalekich i ważnych światowych centrów. Wychodzili z nich wyładowani z wiadomości i pili potem w hotelach w oczekiwaniu na nowy, jutrzejszy ładunek.

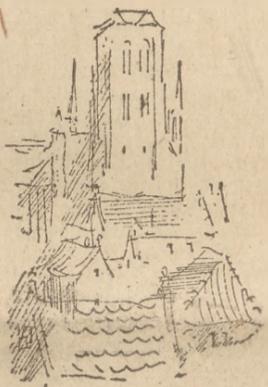
Pomyślałem wtedy, że międzynarodowe dziennikarstwo, wielka reporterka, to jednak fatalny zawód, który zweża, znieczula, zacieśnia. Ludzie, co go uprawiają, znają wreszcie z całego świata pewną ilość międzynarodowych hoteli, ministerialnych przedpokoi, wiedzą, że w numerach telefonicznych New York City występują dwie litery a cztery cyfry, gdy znowu numery telefoniczne Londynu hołdują metodzie trzech pierwszych liter i czterech cyfr. Poza tym wiedzą to także, że narodowym napojem Węgrów jest barrack palinka, że jeden z gatunków amerykańskiej whisky nazywa się burbon, a mahometański duchowny — mufti. Natomiast stają się absolutnie niezczuleni na to, co przeżywają ludzie używający tych telefonów, znający te napoje i mieszkający w pobliżu tych hoteli. Dla takich dziennikarzy międzynarodowych dzieje sudeckiego kryzysu w 1938 to tylko jeden etap dziennikarskiej kariery; zagadnienie Triestu — to dziennikarska story, wojna Boliwii z Paragwajem — drugorzędna sensacja, zbombardowanie Guerniki — problem dwustwierzowej depeszy, zajścia kieleckie — sposób rozstawienia się swą korespondencją, gdzie należy.

Kiedy taka sprawa przebrzmiewa (albo jeszcze przedtem), pakują swe manatki (łatwe do spakowania) i przenoszą się na inne, sensacją wyniesione, miejsce. Prócz nazwy hotelu, narodowego napoju podawanego w barze, szczegółu telefonicznego i metnego wspomnienia przygodnej, napotkanej dziewczyny nie zapominają potem nic. Są i będą wszystkimu temu obcy. Byli, to prawda, w Addis-Abebie, w Madrycie, w Belgradzie, w Rotterdamie, może nawet aż w Warszawie, i zawsze wtedy, kiedy się tam działy tragedie. Byli. Ale na sprawy, jakie się działy, pozostawali nieczuli, obcy. To nie były ich sprawy, to nie są ich sprawy. Badali je tylko lub badają, czy badać będą — pod tym kątem widzenia, o ile są one refleksem wielkiej, dalekiej, międzynarodowej polityki, o której decyduje kto inny i gdzie indziej. O tyle tylko interesowały ich krwawe okopy pod Guadalajarą, o tyle obchodzili ich stopień spolszczenia Wrocławia czy wywozu polskiego węgla. — Tylko o tyle. — Wyłącznie o tyle. —

Nabierałem do mych kolegów, przeważnie Anglosasów, uczucia niechęci. Nabierałem pewnego współczucia. Widzieli oni tysiąc razy więcej rzeczy i spraw niż ja, ale właśnie dlatego przestawali je odczuwać. — Wzrusza

nas jedna mogiła, ale nie cały widzialny cmentarz.

I gdy oni, chodząc w 1939 roku po Gdańsku od Komisarjatu Generalnego do Senatu i od Senatu do Wysockiego Komisarza czy innej takiej władzy, zbierali najświeższe odpadki polityki, ja chodząc przez cztery długie dni po tym najpiękniejszym (po Pradze), starym europejskim mieście, jakie znałem. Wchodziłem w gotycki cień wysokiej Marienkirche, przechadzałem się wzdłuż renesansowych portyków na Frauengasse, przystawałem, aby popatrzeć, jak zachodzące słońce lipca wyląca stare złocenia na fontannie przy Artushofie. Spijałem samotnie wódkę gdańską u Izaaks, —



nie, nie samotnie, towarzyszył mi bowiem pan sędzia Soplca. Rozmawiałem z szynkarzami, właścicielem mojej, wcale nie nowoczesnej, jakże gdańskiej, oberży, z ludźmi na ulicach, w starym porcie, na Zeugnisplatz, An dem Tor, na Rybnym Targu. Patrzyłem w twarz rozjaśnionych bydlęcem szczęściem jasnowłosych, długonogich, rozmaszerowanych młokosów w brunatnych koszulach czy czarnych mundurach. Widziałem przepiękne, szczęśliwe, młode i spokojne miasto — które z całych sił, do ostatniego człowieka, chciało właśnie tylko jednej rzeczy: wojny. Ach, jakże bardzo chcieli tej wojny mieszkańcy miasta Gdańska, latem owego 1939 roku!

Ponieważ ufnosc nie jest dzisiaj najbardziej dominującą cechą w Polsce, przeto pozwolę sobie odesłać ciekawych powątpiewających o ścisłości tego, od czego tu zaczynam, do specjalnego gdańskiego numeru „Wiadomości Literackich“. Wyszedł bodaj w lipcu czy sierpniu 1939 roku z „Ody na Gdańsk“ Iwaszkiewicza i moim artykułem wstępnym na pierwszej kolumnie. Znajdą tam to wszystko.

Wtedy, w lipcu czy sierpniu 1939, nie interesowały mnie tak pasjonujące reporterów zagadnienia, jaki passus znalazł się w ostatniej mowie prezydenta Greisera, skąd padły pierwsze strzały przy nocnym ostrzale placówek granicznych we Wrzeszczu (Langenfuhr) i ile istotnie żołnierzy niemieckich jest w tej chwili w obrębie wolnego miasta. To były okoliczności dodatkowe, przypadkowe, same przez się nieważne.

Ważne było co innego. Oto na ów kąt ziemi wciśnięty w ujście Wisły i bałtycką zatokę idzie Zniszczenie, a ludność tego kąta ziemi mając wszystkie racje, aby przed tym zniszczeniem drzeć jak nikt na świecie, właśnie marzy o tej chwili, właśnie jej pożąda.

Czy nie było patriotyzmu gdańskiego? Oczywiście, był. Był niemiecki,

ale był gdański. Czy ludzie Gdańska nie rozumieli piękna własnego miasta, czy nie kochali tej historii wpisanej w cienisty kolor cegły, w wapieni rzeźb i attyk, we wnętrza starych domów, gdzie rozsychały się dębowe rzezane suto szafy i pobrzękiwały na półkach stare cyny, Lutra pamiętające? Kochali, wielbili. Czyż nie podejrzewali ani na moment, że burza, jaka się rozpęta, przejdzie zniszczeniem po tym wszystkim, co tu kochają? Otóż w tym właśnie rzecz cała, że tego jednego nie przewidywali.

Doprawdy, nie bardzo wiadomo, na jakiej podstawie wyobrazili sobie, że wojna pójdzie jakoś „bokiem“, inną drogą; zapewne, bo oni, zanni mieszkańcy tego kraju, tak sobie właśnie życzą.

Okazało się, że niebezpieczeństwo znanej polskiej choroby o angielskiej nazwie wishfulthinking zaszczepiło się i spokojnym gdańskim Niemcom. Dość właśnie, że marzyli o wojnie, a jednocześnie wyrażali przekonanie, że będzie ona wszędzie, tylko akurat nie w Gdańsku. Ówczesni publicyści gdańscy byli to ludzie na maluczką skalę, tacy właśnie, którzy nie piszą o innych rzeczach tylko o tych, które czytelnik żyła z radością.

Rzecz prosta, dla czytelnika z zewnątrz, nadomiar plewiącego w sobie pilnie wszelkie objawy wishfulthinkizmu, było jasne coś wręcz, ale to wręcz przeciwnego. Jeśli wojna rozpęta się o Gdańsk i tu właśnie, to ten kąt jest szczególnie narażony na zniszczenie. Raz, że zacznie się tu właśnie; trzy, że w zderzeniu polsko-niemieckim Pomorze jest zapewne nawet ważniejsze niż Śląsk, a co najmniej tak samo ważne. Cztery, że gdy wojna toczy się z Anglią, to ofiarą anglosaskiego impetu zawsze jakoś padają porty. To, że Gdańsk wyjdzie z tej wojny w sproszkowanej postaci, było nader łatwe do przewidzenia, choć może nie tak łatwe jak to, że nowa wojna byłaby dziś dla Polski tym, czym dla Warszawy powstanie 1944 roku.

Nie było to trudne do przewidzenia. Przeciwnie, dla byle trzeźwo rozumującego mózgu było to równie jasne jak to, że brama do podboju Anglii wiedzie przez La Manche, że wrota do Francji prowadzi przez łęgi nad Marną, a droga do Moskwy wiedzie nie przez Chiny, Gaurizankar, czy biegun, ale właśnie przez Polskę. Ta oczywistość wydawała się jednak gdańszczanom niewygodnym mirażem.

Odsuwali go myślami. Mówili, że wojna ich omiara, właśnie ich. Na mapach wytyczali sobie, zgoła dowolnie, szlaki, którymi „es muss“ pójść. Tak łatwo uwierzyli w wysoką technikę wojenną tych, od których oczekiwali „Befreiung“ (to jest Niemców), że coraz łatwiej wdrażali przeświadczenie w mózgi, że wojna otrze się o Gdańsk echem dalekich strzałów, łopotem sztandarów na defiladzie, zwycięskim w szeregowaniem feldgrauów.

„Lieb Danzig, magst ruhig sein“ — wyznawał mi z całą powagą uczony, bardzo uczony profesor. Zasympiał on co dzień owego lata w przekonaniu, że na domy, kościoły, uliczki stare i podcienia swego rodzinnego miasta patrzeć będą on, jego wnuk i prawnuki po wsze czasy historii. Kochał miasto swoje, jak rodowici mieszkańcy Krakowa kochają swoje. Ale czekał na wojnę, marzył o woj-

nie, pragnął wojny. Ani przez chwilę nie mogła wszczepić się w jego uczony rozumny mózg ta bardzo prosta myśl, że owa wojna będzie oznaczała koniec, konkretny koniec tego wszystkiego, co tu kocha. Ze po przez rozwalny Mariackiego kościoła (Marienkirche) będzie po tej wojnie przeczerać swobodnie blade bałtyckie niebo, że patrycjackie domy rozkruszą się na gruz, ślad nie pozostanie nawet po nich, że nie będzie ani katedry, ani rynku, ani żurawia w starym porcie (tego ze znaczków pocztowych). Niczego. Nie będzie Gdańska. Ze nie będzie także i jego prawnuków — albowiem jego wnuk zaginie gdzieś pewnej bardzo śniego-



wej zimy na płaskowyżach Stalingradu.

Przewidywanie, że wojna, która się przewali, przewali się przez Gdańsk, i Gdańsk in primis zniszczy, nie wydaje się dzisiaj zbyt ekwilibrystyczne. Przeciwnie. Zasadzało się na prostym, logicznym rozumowaniu, tak prostym, że aż dziecinnie łatwym. Było dostępne — zdawało się — każdemu gdańskiemu dziecku, przekupce na Fischmarkt, dziadkowi przy portalu świętej Katarzyny. Otóż upewniam — a niewiernych znowu odsyłam do numeru gdańskiego „Wiadomości Literackich“ — że w przełomowym, w skutki brzemiennej lecie 1939 to proste, normalne rozumowanie nie było dostępne dla nikogo w owym, jak Kraków pięknym, mieście.

Są okresy, kiedy całe narody, całe ludzkie kolektywy rozumują nie w sposób najprostszy, ale właśnie najbardziej pokrętny. Są okresy jakiejś masowej manii samobójczej, widocznie zsyłanej na ludzkość przez Boga za winy niepojęte.

Tak właśnie było w Gdańsku owego lata 1939. W wypadku mego profesora i jemu podobnych było jeszcze gorzej. Otóż kto jak kto, ale publicyści, ludzie piszący, ludzie nauki i kultury winni byli, — zdawałoby się — przestrzegać pierwszy i pierwszy tłumaczyć, rozumieć niebezpieczeństwo owego kolektywnego ociemnienia. Przeciwnie. Przeciwnie. Tymczasem podzielił mi się. Przestrzec. Tymczasem podzielił mi się w pełni. W tym stadzie owiec nie było nikogo, kto by stado uświadomił, że biegnie ono ku przepaści. Przeciwnie. Właśnie ci, najmądrzejsi, dorabiali libretto rozumowej argumentacji do muzyki uczuć. Właśnie mój profesor i jemu podobni gotowi byli wywozić, — uczenie, z argumentami, fachowo, — że nowa wojna będzie bezbolesnym i wcale bezpiecznym zabiegiem chirurgicznym, przy którym, dzięki najnowszym zdobycjom techniki i wynalazczości, alles wird sich glatt passieren.

Gotowi byli uzasadnić wciąż w sposób nader uczony, że chociaż szlaki wojenne, zdawało się, idą poprzez Gdańsk, to jednak „właśnie dlatego“ ów Gdańsk one ominą. Why? Tego nikt nie powiadał, ale nie bardzo się i pytano o why? Ci pojmenalao, przywódcy opinii, potrafili u dowodnie wszystko. I szafu emocjonalnego, jaki objął masy, nie tylko nie starali się rozładować, ale jeszcze swą wpatliwą, ad usum delphini skrojoną argumentacją. O, wiem, że za to mieli przyjemne wczasy. „Guten Tag, Herr Professor, ich habe schon ihren hervorragenden Artikel gelesen“. „Ich gratuliere Ihnen, Herr Doktor. Alles, was Sie sagen, ist vortrefflich!“ Chodzili w sławie.

W Polsce w owym czasie grasował z odczytami jakiś mistyk-lotnik, który ponoć miewał widzenia, i objeżdżał Polskę z odczytami o sile Polski i słabości Niemiec. Pamiętam, że jeden z jego argumentów był następujący: statystyka dowodzi, że na weselach wiejskich w Polsce dochodzi w 78 procentach do wyczynów nożowniczych, gdy w Niemczech statystyka ta mówi o 0.2%. Jakież tedy naród jest bardziej bojowo nastrojony? Ta statystyka — nie wiem skąd zresztą wysnuta — dowodziłaby, niestety, tylko naszej cywilizacyjnej niskości. Ow lotnik był wprawdzie bardzo czynny w zakładaniu w wojsku jakiejś dziwacznej mafii „Krzyża i Miecza“, ale nie spotkaliśmy się potem w żadnym z tytuł polskich dywizjonów z jego nazwiskiem. — Ale wtedy, na przełomie 1939 roku, był on niezawodnie popularny. Dzięki takim prelegentom od lat wzrastało w Polsce przekonanie, że nikt nam nic nie zrobi. Tacy, rzecz jasna, byli cenienni.

Z okna, z którego mam widok na wieże Krakowa, w ranek mroźny i słoneczny, kiedy kominy dymią błękitną pozornością spokoju, kiedy poprzez ich mgłę, jak nierealne zjawisko majacący i chropawy barok wieżyc wawelskich i ostra korona Panny Marii, zwiduje mi się teraz Gdańsk, którego nie ma i którego żadna siła już dzisiaj nie wskrzesi.

Jego kamienie rozpadły się na proch, dosłowny proch, jego ludność zginęła pod nimi lub została rozwłoczona po świecie. Nie wiem, co stało się z ludźmi, których wtedy widziałem i którzy, jak dżdżu ożywczego, oczekiwali wojny. Bóg ich ukarał, to pewna, najsroższą karą, jaką dał ludziom, to jest spełnieniem ich pragnień. Myślę tylko o tych kilku, kilkunastu ludziach w Gdańsku, rozsądnych, spokojnych, zrównoważonych — ludziach mózgu i intelektu, ludziach, od których można było wymagać, by wnieśli się wyżej i sądzili sprawy nie z horyzontu dnia, ale z jakiejś wyżyny bardziej historycznej i wyniosłej.

Ludzie ci, moim zdaniem, nie spełnili swej roli. Swe rozumowanie naginali do nastrojów, zamiast nastroje próbować nagiąć do rozumowania. Swą argumentacją sztukowali dziury, zamiast zagradzać nią drogi do przepaści. Dopuścili się dwóch najcięższych grzechów, jakie publicysta, sufler narodu, popełnić może. Starali się par force o popularność, popularność kosztem wszystkiego. aż do losów narodowych włącznie. Ztraćili wszelką odpowiedzialność, czy,

raczej wszelkie poczucie odpowiedzialności. Uważali może, że odpowiedzialność spada tylko na rząd, na ministrów, na wojewodów czy generałów. Tymczasem odpowiedzialność spada na każdego. Spada — w pewnym stopniu — na wyrobniaka i bosą dziewczkę. Spada — olbrzymim ciężarem — na publicystów.

Publicysta musi być zawsze pełen poczucia odpowiedzialności. Musi się liczyć z tym, jaki skutek wywoła to, co pisze, czy zachęci do zlekceważenia grozy sytuacji, czy przeciwnie, podkreśli, jak to teraz czyni, jej pełną wagę. I wreszcie publicysta musi pamiętać, że jego rola nie polega na wesołkowatym wbiłaniu komuś szpilek, na kawalach, kalamburach, a już najmniej na stałym ubieganiu się o popularność. Dobry aktor nie może być wygwizdany nigdy, ale zły publicysta to właśnie taki, którego nigdy nie wygwizdano, który nigdy nie naraził się opinii, nie stał wobec niej sztorcem, okoniem. Takich ludzi właśnie Gdańskowi w 1939 zabrakło. Tragicznie zabrakło.

Ktoś może zapytać, czy gdyby mu ich nie było zabrakło, czy zmieniłoby to w czymkolwiek bieg wydarzeń? Czy przynajmniej zmieniłoby go na odcinku gdańskim? Wątpliwa jest zawsze odpowiedź na pytanie „co by gdyby”, ale jeśli już ktoś je tak po polsku stawia, to i na to odpowiedź dać trzeba. Odpowiedź jest dwojaka. Po pierwsze, jeśli chodzi o Gdańsk, najprawdopodobniej tak. Gdańsk istotnie nie był kluczowym punktem strategii światowej, nie grał w tej wojnie roli brzegów normandzkich, zakosu Wołgi, płowych wzgórz za El Alamein czy włoczonych w łęgi i łozy nurtów Odry. Gdańsk niszczyła zaciekość ludzka, a nie konieczność wojny. Armie, które w 1945 roku doszły do Gdańska, nie nie wiedziały o jego pięknie, historii czy przeszłości. Pamiętaly to tylko, i to jedno, że o to właśnie miasto zahaczyło się tragiczne ich życie, spokojne, powolne życie ludzi gdzieś nad Odrą czy Donem, w wawozach Kaukazu czy Iasach za Wiazmą, że przez to miasto i o to miasto musieli gnić w jamach, zasnąć wsi, głodu, mrozu, śmierci, ran, obcości — i, rynchując działa na wieże tego miasta, pamiętali o tym. Pamiętali o tym, że najokrutniejsze dywizje prujące rosyjski step miały nazwę dywizji gdańskich — i znowu pamiętali to tylko tutaj.

Czy możemy się im dziwić? Nie. Możemy tylko rozumieć, że Gdańsk swymi nastrojami wytworzył wokół siebie takie na świecie odium, że ta wojna nie mogła się skończyć bez zniszczenia Gdańska, jak nie mogła się skończyć bez szubienic norymberskich, Gdańsk zbyt skwapliwie i entuzjastycznie wybiegł ku najstraszniejszej w historii wojnie. Jego ludność w tych kościołach modliła się o tę wojnę. W okresach zbiorowego szału bywa i tak, że słowa słusznej modlitwy „od powietrza, głodu, ognia i wojny” ludzie zmieniają w sensie szatańskim. Obawiam się, że modlitwa o kolektywny mord nie jest miła Bogu i może jest w tym Jego Ręka, iż kościoły, w których modlono się tak zbrodniczo, stoją dziś wymowne kikutami ścian, grudem na rozwalonych ołtarzach, strząskanymi czerepami swych sklepić.

Być może, że gdyby na świecie istniała świadomość, że wojna ta może i była o Gdańsk, ale bez Gdańska, wbrew Gdańskowi, może zaciekość odwetu nie runęłaby właśnie z taką siłą i nienawiścią na Gdańsk.

Rozważania jednak „co by gdyby” wolę pozostawić na boku. Nie rekonstruuje się nie napisanych rozdziałów historii. Nie odtwarza się tego, czego nie było nigdy. To trudno. Jest natomiast rzecz inna. Oto należy nam zawsze czynić to, co czynić trzeba — bez względu na to, czy nasza akcja będzie miała pewny skutek, czy też tylko możliwy i choćby nawet były poważne obawy, że go nie będzie miała, a nawet wtedy, gdy ktoś nam zaręczy, że jest tego pewny. Zadaniem publicysty jest nie tylko nie grać nieustannego sztafetera pod łatwe nastroje publiki. Zadaniem publicysty jest głosić to, do czego doszło jego rozumowanie; zadaniem publicysty jest niezależnie od tego, czy owo rozumowanie jest, czy nie jest w smak władzy, kościołowi, masie, społeczeństwu, narodowi, opinii

publicznej, trwać przy swoim w tym przekonaniu, że udziela rady czy przestrogi słusznej, choć komu niemiłej. Zadaniem publicysty jest jeszcze głosić to do końca. Mimo i wbrew innym. Jak mówią Anglosasi „again, and again, and again”. Egejn, end egejn, end egejn. W bunkrze własnego tylko, publicystycznego sumienia musi się wtedy pisarz bronić przeciw zarzutom, że się nie podoba, że zawodzi nadzieje, albo, jeszcze mizerniejszym, że się wykańczy, że się skończy. Powinien mieć dla tego wszystkie horacjuszowską obojętność. Musi powiedzieć wszystko to, o co winien wypełnić, musi powtarzać do końca, nawet gdy jest coraz gorzej, właśnie wtedy, gdy jest coraz gorzej, nawet wtedy, gdy go nie słuchają, właśnie wtedy, gdy go nie słuchają. Musi mieć piękny upór księcia Gintuła z „Popiołów” stojącego w obronie Sandomierza.

Od owego Gdańska w 1939 roku,

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

## ROZWAŻANIA FESTIVALOWE

Cannes, w październiku 1946

Na szczęście film nie ma jeszcze swoich docentów. Chociaż tzw. ludzie filmu, gdy się ich pyta o pogląd ogólny lub szczegółowy, przybierają tajemniczy grymas twarzy, mający wyrazić wyższy stopień zorientowania, możemy wszyscy, literaci, malarze, muzycy i wrażliwcy bez przydziału zawodowego oceniać dzieło filmowe żywymi oczami, żywym słuchem i umysłem nieograniczonym żadnym przesądem.

Na szczęście dla filmu trwa jeszcze spór o jego miejsce w kulturze. Rzemiosło? Środek propagandy? Sztuka? A może i to, i to, i tamto? Nie zamierzam tutaj, nad najbardziej niebieskim morzem i pod najbardziej operującym słońcem w Europie, wieść sporu z samym sobą. Bo ja również jestem skłócony i lewą ręką macham ze zniecierpliwieniem na prawą, gdy zbyt uporczywie wyobraża tryb różkaziujący: Patrz! — kiedy właśnie wówczas słucham, słuchaj! — kiedy właśnie we wzrok się zamieniam. Niekiedy jednak, bardzo rzadko (lecz czyż w życiu takie sprawy mogą dziać się często?) jestem pogodzony i wszystkimi narządami postrzegania tę samą czynność wykonuję. Wówczas wiem, że film jest sztuką i tak wielką, że tylko jej chciałbym służyć. Lecz potem ogarnia mnie znów zniechęcenie takie, jakbym jednocześnie przeczytał poemat Balińskiego i obejrzał obraz Weissa.

Gdyby film miał swoich docentów i zniechęcenia takie byłyby przyczyną czyjejs euforii i z powodu obrazu duńskiego „List umarłej”, będącego nędzną psychologizacją, napisałby ktoś pamflet przeciwko metaforze czasoprzestrzennej, wywiódłby ktoś uczenie niezbita, bo tytułem uniwersyteckim podpartą prawdę o ograniczoności człowieka, który tylko głodem, miłością i naturalistycznym pejzażem wzruszyć się może. A tymczasem człowiek...

On mimo wszystko nie należy do tak nędznie śmieśnego gatunku, jak to usiłuje wykazać Gilles Margarithis, francuski autor krótkometrażowej burleski pod najbardziej na serio traktowanym na ziemi tytułem „Człowiek”, brat wołu, wieprza i skowronka wywołuje śmiech na sali wśród publiczności przygotowanej przez J. P. Sartre'a do wywalania swego zaniepokojenia i zniechęcenia, wzruszeniem ramion. Lecz poza śmiechem nie ma tej szczypty satysfakcji, jaką dają np. zantropomorfizowane zwierzęta w kreskówkach Disneya lub najniebezpieczniej upostaciowany gatunek ludzki w osobie Charlie Chaplina. Człowiek, jak dotychczas, na taśmie filmowej nie przestał być ludzki i formalizm w filmie nie urosł do rozmiarów przestępstwa społecznego. Dlatego wszystko, co może być jego zapowiedzią, narazić się musi co najwyżej na najmniej eksterminującą krytykę: na milczenie. Jestem na pewno jedynym sprawozdawcą w Cannes, który w sprawie „Człowieka” macza pióro w kałamarzu.

Lecz nie bez celu podkreślam swoją niechęć do docentów i odrębność

do którego myślą tutaj w Krakowie teraz powracam, wiele przeszło i wiele się zmieniło. Byłem żołnierzem tej wojny, w której poszło o Gdańsk, której Gdańsk tak pożałował i której nie miał przeżyć. Widziałem, czym jest nowoczesna wojna i czym musi być wojna przyszłości. Sądzę, że się jej da uniknąć i cieszę się, że w Organizacji Narodów Zjednoczonych biorą jakiś akromny udział w pracy, która stara się — z jakim trudem! — jej zapobiec. Czynię to, bo wiem, jakim wojna byłaby nieszczęściem, bo wiem, że szlakiem jej najtwardszego marszu byłyby pola, kościoły, sanktuaria i żywe ciało mojego właśnie narodu.

Kto by sądził inaczej, jest niepočitany, a kto by mówił inaczej, odgrywałby rolę człowieka, który podaje innemu truciznę i mówi, że jest to pastylka na ból zęba. Wprowadzałby w błąd w najważniejszej

wśród sprawozdawców filmowych. Doszedłem bowiem do tego miejsca w moich doświadczeniach artystycznych, skąd nie ma już powrotu do łatwo osiągniętych satysfakcji. Tak jak nie mogę pokonać zniecierpliwienia przy lekturze tradycyjnej powieści, choćby była nawet odznaczona nagrodą Goncourtów, tak samo nie interesują mnie perypetie ukazane w „Symfonii pastoralnej”, nowej gwiazdzie w herbowej koronie miasta Cannes. Tutaj, obejrawszy kilkadziesiąt przeciętnych i kilka nieprzeciętnych filmów naraz, zdałem sobie wreszcie jasno sprawę z nieodwracalnego procesu rozwojowego współczesnej sztuki, którego nie zahamują ani nasze ubogie wyprawy krzyżowe do świętego klasycyzmu, ani francuskie głosy, domagające się spalenia sztuki pesymistycznej, ani...

Nie wypowiem wszystkiego jednym tchem. Zbyt łatwe miałby życie Jan Kotł, gdybym mu podsunął do opacznego wykorzystania nazwiska autorów i tytuły książek, na które mógłby już, na wszelki wypadek, publicznie machać ręką. Tym bardziej, że mam ochotę popisać się sam kilkoma odkryciami, i nie dla satysfakcji, że jestem pierwszy, bynajmniej, lecz dla ukazania obrazu nowych ambicji sztuki europejskiej, bez niepotrzebnych „szarości” interpretacyjnych.

Lecz o poezji i jej sprawach osobno. Tutaj wydaje mi się jednak koniecznością stwierdzić, że we wszystkich dostępnych mojej wrażliwości dziedzinach sztuki, obserwuję tę samą tendencję i te same na przekór tym tendencjom postawiane przeszkody. Wszędzie intelekt zmagają się z naturalistycznymi konwencjami narzuconymi sztuce przez świat „wyczuwany”, „postrzegany”. Poezja dokopuje się w głąbie mowy do słów pierwszych, będących nie nazwą fenomenem, lecz fenomenem samym. Stąd jej egzorcyzmowana pojęciowość, pozorna abstrakcyjność, pozorna, gdyż dla poezji właśnie materialne przeżycie jest odczuciem od świata wyobraźni. Malarstwo walczy z uświęconą przez tradycję formą trzeciego wymiaru, ze złudzeniem upostaciowanym perspektywicznie i usiłuje zmieścić na dwuwymiarowym płótnie konstrukcję całych brył, poznanych a nie obejranych tylko. I wszędzie ten sam sprzeciw publiczności, która zaślania się niezrozumiałością zjawisk, dla których zrozumienia nie czyni żadnego wysiłku. Ona dzieła sztuki chce „poznać” tymi samymi narządami, którymi „poznaje” głód, temperaturę i to „coś nieuświadomionego”, co nazywamy niepokojem. Czyż można dziwić się, że ktoś, określający poemat czy obraz malarski przymiotnikami „smutny”, „rzewny”, „łęskny”, lub po prostu „wzruszający”, jest nieprzygotowany intelektualnie do umiejscowienia artystycznego przeżycia. Łatwo zasłonić się wiekami doświadczeń, które nie wymagały rzekomo niczego krom umiejscowienia wrzucania się. „Quand les cathédrales étaient blanches”... Nawet gdyby, przyjmijmy. Lecz nie na darmo żyjemy we wieku oświecenia promie-

niującym cząsteczkami atomu. To obowiązuje do czegoś tak twórców, jak i konsumentów dóbr humanistycznych.

A właśnie film, który znajduje się we wieku niewiedzy, czy jest rzemiosłem czy sztuką, przeżywa te wszystkie, a w każdym bądź razie analogiczne przeobrażenia. Te same tendencje co w poezji i malarstwie, inaczej w filmie się wyrażają.

Lecz ta młodość i nieokreśloność utworu filmowego stwarza dlań szczególnie korzystne i szczególnie niesprzyjające warunki. Korzyścią bezsporną jest nieistnienie sztywnych ram i kanonów odpowiedzialności wobec rygorów. Zainteresowanie widza można pozyskać zdjęciami, montażem, fabułą, szczerością dokumentu, jak również jego patosem. Nie można odrzucać żadnego z tych środków. Lecz to samo jest także hamulcem w rozwoju. Co jest istotą zainteresowania, zaciekawienia filmowego? I właśnie o tę tajemnicę chodzi.

Zainteresowanie odbiorcy, skłaniające go do przeżywania dzieła tego lub innego rodzaju sztuki, jest pojęciem ścisłym. Chociaż ulega ono ustawicznym zmianom, to jednak zmiany te odpowiadają ewolucji samych rodzajów sztuki. One są tych ewolucji sprawcą.

Zaciekawienie czytelnika powieścią dzisiaj różni się od zaciekawienia analogicznego sprzed lat trzydziestu. Opis zjawiska, chociażby niezwykłego, nudzi. Niesposób śledzić z ciągłym zainteresowaniem procesu zachwycenia pejzażem, kobietą czy samotnością, gdyż znaną dokładnie znany prawa rządzące, znamy kolejność następujących po sobie zmian. A przecież zainteresowanie musi pobudzać nadzieja niespodzianki. Dlatego wyobraźnia poetyczna coraz bardziej oddala się od świata postrzeganego i stwarza zjawiska niewyobrażne, niemożliwe w tradycyjnym znaczeniu tych słów.

W powieści los bohatera nie jest już ośrodkiem zaciekawienia. Interesujemy się jego umiejętnością przeżywania, jego zdolnością dokonywania wyboru. Monolog wewnętrzny jest właśnie drogą wiodącą do odkrycia tych ognisk, których tylko dalekie promieniowanie sygnalizowała analiza psychologiczna.

A w malarstwie, nie sięgając epoki kamiennej tematu, czyż nie chodzi o wypatrzenie tego, co się znajduje pod zewnętrzną warstwą przedmiotu? I to tylko ciekawość.

Ale jeżeli chodzi o film, to tak samo trudno ustalić istotę wzbudzanego przezeń zainteresowania, teraz jak i w przeszłości. Patrząc kolejno na kilkanaście różnych filmów, z których jedne pobudzają nasze wzruszenie plastyczne, inne słuch, inne po prostu zainteresowanie fabułą, ciekawimy się za każdym razem inaczej. A jeżeli nie ciekawimy się, to nasz brak zainteresowania również nie jest filmowy, lecz literacki, plastyczny itp., gdyż nie posiadamy pojęcia banału literackiego, malarskiego, muzycznego w filmie ukazany.

Festival w Cannes głównie dlatego był pożyteczny, że ukazał zmagania się filmu z zapożyczonym od innych rodzajów sztuki pojęciem banału. I dalej, jeśli sięgał po doskonałość, to — z wyjątkami oczywiście — po doskonałość obcą, nie jemu właściwą.

Za wielki sukces festiwalu uznana została „Symfonia pastoralna”, film reżyserii Jean Delannoy według opowieści André Gide'a. Obraz wart zobaczenia chociażby ze względu na interpretację Michel Morgana, która zasłużenie otrzymała „grand prix” za grę aktorską. Lecz obraz ten filmowo zupełnie nie ciekawo. Patrząc nań odczuwamy taką samą ciekawość, jaką odczuwaliśmy czytając książkę Gide'a. I nic poza tym. Tak, że nawet cienie krytyki, które padły na „Symfonię pastoralną”, miały tylko jeden ton: w jakim stopniu Delannoy oddalił się od Gide'a, w jakim stopniu go spłycił, czy też mówiąc filmowo o niefilmowym zagadnieniu — skrócił.

Obrazów typu „Symfonii pastoralnej”, a więc typu biernego, odtwarzającego lub ilustrującego dzieło artystyczne innego rodzaju, było na festiwalu wiele. Nie warto nad każdym z nich się rozwodzić, gdyż, poza tym, że były gorsze, nie różniły się w tendencji od utworu Delannoy. W ogóle można było stwierdzić, że ambicje większości reżyserów filmowych są skrępowane jednym ideałem: Ciekawość fabularna. Brak wysiłku, by szukać dróg do wzbudzenia i zaspokojenia zainteresowania czysto filmowego (?). Scenariusz literacki przytłacza wynalazczość w innym kierunku. Ale za to scenariusze — ktoś podsunie. Tak, scenariusze istotnie osiągnęły szczyt skomplikowanej doskonałości. Już tak skomplikowane (wielokąty miłosne, subtelności psychologiczne itd.), że aż banalne. Tak ciekawe, że aż nudne.

Obok przytłaczających literaturą nie mało było filmów nużących muzycznie (amerykańska „Rapsody in blue” — muzyka Gershwna, angielski „The magic bow — muzyka Paganiniego). Ten typ filmów znany jest aż nadto dobrze, by należało go oficjalnie przedstawiać. W ogóle chcą tylko przykładowo zaprezentować filmy, które się manifestują zapożyczonym banałem. Bo ciekawsze są przecież zmagania się z nim, próby wyjścia poza konwencje, wysiłki niezależności się.

Z filmem literackim, bardzo skutecznie na szczęście, walczy film reportażowy. To samo, co w literaturze, przeciwstawienie powieści — reportaż, ma w filmie zupełnie odmienny walor. W filmie chodzi właśnie o zbliżenie się do tego, co nazywamy życiem, o zatarcie fikcyjności, tej autonomii artystycznej, którą stwarza powieść. Tutaj, na tle tych zmagania, widać dopiero wyraźnie, jak wielka może być przepaść między filmem a literaturą, posiadającą w filmie postać przebudowanego scenariusza. I w tych zmaganiach można zauważyć dwie tendencje: francuską i sowiecką.

Francuzi za punkt wyjścia biorą, mówiąc w przybliżeniu, powieść, jej ramy całościowe, jej potrzeby rozwinięcia i uregulowania akcji. Dokument, który wprowadzają, ubierają w kostium anegdotyczny, w bogactwo ornamentyki interpretacyjnej. Rosjanie — fakty czyste, gołe, odarte nawet z obcowania z fikcją i tworzą z nich, a właściwie tak tworzą, iż wywołują wrażenie nieobecności twórcy, całości żyjące dynamicznie, nieskończenie. Wystarczy porównać „Berlin” z „Bitwą o tor kolejowy”. Dwa filmy dokumentarne, dwa reportaże, a jakże różne. „Berlin” przerasta powieść, tematycznie, jest dokumentem niezależnym od ambicji filmowej. Tak, ale czy my wiemy dokładnie, na czym ambicja filmowa polega? To jest świetny, niezapomniany film, w którym „ani odjąć, ani dodać”. A czy nie o to chodzi? Oglądając obraz zbudowany ze zdarzeń znanych, zdarzeń historycznych, jesteśmy zainteresowani i zaciekawieni tak, że zapominamy o przedmiocie zainteresowania. Zdarzenia, zdjęcia, montaż? Wszystko. Nie wydaje mi się słuszną osąd Jury, które „Bitwę o tor kolejowy” podniosło do rangi arcydzieła. Niestuszny w tym zestawieniu.

Rozbieżności między tymi dwoma tendencjami sprostujemy jeszcze dokładniej na przykładzie „Ojczyzny“ (Francja) i „Wielkiego przełomu“ (ZSRR). Oba filmy poświęcone minionej wojnie, duchowi oporu. Lecz Francuzi literackim kunsztem „préciosité“ zawalowali tendencje. Umieścili akcję w XVII wieku i bohaterom przebranych w stroje flamandzkie kazali powtarzać londyńskie odezwy generała de Gaulle'a. Rzecz potraktowana groteskowo byłaby świętna, poważnie — zawodzi (istnieje co prawda rekompensata plastyczna). Sowiecki „Wielki przełom“ jest egzaltacją obrony Stalingradu. Rażą długi i nadużycia dialogów, lecz pozostał kawał filmowej prawdy.

Walka z powieścią, z literaturą to jeden z przejawów tych twórczych tendencji w filmie współczesnym, które te wysiłki pozwalają uważać za równoległe z ewolucją innych rodzajów sztuki.

Jeden z... Bo jest ich więcej. Istnieją próby „odnowienia“ aktora. Już dawne filmy sowieckie wprowadziły nowy typ powierzchowności aktorskiej. Pięknemu gogusowi, a-mantowi amerykańskiemu, przeciwstawiono prostą twarz człowieka codziennego. Obecnie także filmy angielskie, a nawet amerykańskie, wyzwalają się z konwencjonalnej doskonałości fizjonomii. Ray Milland „The lost week-end“ nie gra alkoholika, lecz jest alkoholiakiem. Film sowiecki poszedł jeszcze dalej na drodze wynalazków. W długometrażowym filmie „Biały kiel“ (według Londona) wprowadzono zwierzęta i na nich ześrodkowano uwagę. I co ważniejsze, że ich nie zantropomorfizowano, lecz odtworzono ich właściwe instynkty.

Na drodze do poznania istoty zainteresowania filmowego zdarzają się wypadki, nie zawsze nieszczęśliwe. Szczęśliwym wypadkiem jest „Maria Candelaria“ (reżyseria Emilio Fernandez), meksykański film z Dolores del Rio. Rozpamiętywując ten film, nie łatwo jest uświadomić sobie powód zachwytu, jaki on w Cannes wywołał. I właśnie w tej niełatwości coś się zawiera. Fabuła prosta, że w 10 słowach się zmieści; led meksykański kamienie dziewczynę, która pozwała rzekomo do aktu malarskiego, lecz te proste, prymitywne namiętności ukazano w sposób dotychczas niespotykany na ekranie. W filmie, którego istotą jest przeciwieństwo ruchu, gdzie wszystko odbywa się czasoprzestrzennie, wprowadzono nieruchomość pejzaży jako wspomnienie ruchu, który minął i niewzruszoność psychik indywidualnych dla uwypuklenia przeżyć zbiorowych. Tylko masy, masy wód, masy powietrza, masy ludzkie są zmienne. Film sprawia wrażenie symboliczne, jakby zastosowano maski greckiego teatru i rozbudowano je metaforycznie. Wypadek? W każdym bądź razie wydarzenie izolowane.

Już nie wypadkiem jest jednak bardzo świadoma metaforyka filmu amerykańskiego. Oczywiście, nie można tego stwierdzenia uogólniać, lecz „The lost week-end“ jest świadectwem prawdy. W filmie tym, zrobionym prawie bez scenariusza (los alkoholika), ukazano wizje, które nie mają odpowiednika w innym systemie wymowy. Halucynacja alkoholika oddana przez zecpełenie wrażeń słuchowych i wzrokowych w wyobraźni oszalałej i uprawniającej do wszelkich skojarzeń, jest czymś, co tylko słowo niezwykłość opisuje. Filmy nadrealistyczne takiej niezwykłości nie osiągały.

Chociaż festival w Cannes nie zaprezentował arcydzieł, to jednak spełnił ważną funkcję. Dziś, w czasach wątpliwości w zastosowalność i społeczną użyteczność odkryć formalnych, ukazał na materiale konkretnym, żywym, z którego nie wywabiono jeszcze śladów od dotknięcia zwykłych rzemieślniczych rąk, najwyższą ambicję: przeniesienia się ponad przeciętność, ponad konwencje. Chociaż dotychczasowe realizacje są ciągle tylko próbami, o których nie wiadomo, czy doprowadzą do wynalazku prochu, to jednak już napładniają teoretycznie.

Zbigniew Bieńkowski

CZESŁAW MIŁOSZ

## CENTRAL PARK

W przyćmionym świetle zdeptanej zieleni  
Z marynarzami w uścisku dziewczęła  
Leżą bez ruchu. Nim obraz się zmieni,  
Trwa ciemne ramie czy bluzka rozpięta.

Z bazaltu skały biją długie pióra  
Drzew, których kiście w dół spływają struną.  
I gdy teatrem staje się natura,  
Srebrne maszyny w górze się przesuwa.

Zakryte męną łączą wodnej pary  
Abstrakcyjnego miasta dręgał szczyty  
Łamiąc powieźrze na strone obszary:  
Plastry z metalu, albo stalaktyły.

Kiedy dzień kończę nad książką spędzony  
I z bystrym czasem nie wiodę załargu,  
Lubię iść między kamienne załomy  
Tropikalnego i dusznego parku.

Mógłbym pomyśleć, że ciężką opieram  
Na ławce lirę z przejrystego drzewa  
I kiedy struny potracam i zbieram,  
Milcząca lira dawną rzecz opiewa.

Pamiętam pole, gdzie suche pioluny  
Blask pałącego się miasta zabarwia  
I świerszcze grają, czerwone od łuny,  
Nad którą dymów przesuwa się armia.

Wiafr biegnący szosą zairzepocze  
Suknią na trupie kobiety i schodzi  
Miasto płonące długie dni i noce  
W legendę, która klęsk nie wynagrodzi.

Jest w fkiej pieśni przestroga zawarła  
Dla tych, co w miękkich łożach będą spali,  
Że poplamione różem prześcierała  
Nierzadko ogień wędrowny przepali.

Kto raz przekroczył próg mikrokosmosu,  
W którym się ludzkie odprawiają dziwa,  
Niech wie, że zemsty złośliwego losu  
Co dzień spokojem obojętnym wzywa.

Oni nie słyszą. Jakby ziemia świeża  
Pierwszą z potopu wyloniła palmę  
Jedno drugiemu z drzeniem się powierza  
I wchodzą w ciche gaje seksualne.

Jednak i tutaj, w środku Manhattanu,  
Mógłbym zobaczyć, jak na dźwięk przestrogi  
Bledną ich twarze pod blaskiem ekranu  
I nagły przestach osłabia im nogi.

Tutaj, w aul rządzie jadących, aleją  
Widzę jak idzie wóz ambasadorów  
Ku białym masztom, na których się chwiewa  
Rozliczne flagi fikcyjnych kolorów.

Biedni wysłańcy! Wielkie są ich trudy,  
Gdy wypisują, z okiem przyrzużonym,  
Święte Przymierze inkauslem obłudy  
Czy Ałańczyków pakt z Lacedemonem.

A nam, JULIUSZU, jaka dana władza,  
Gdyśmy rodzinnej naszej Europy  
Los przewidzieli, który doprowadza  
Pod obcych pojęg uzbrowione słopy?

Ledwieśmy skrycie w sercu optakali  
Tę matkę kunsztów i matkę nauki,  
Już z nową wiarą kładliśmy na szall  
Jej starą mądrość i jej krwawe bruki.

Spokojnie patrząc na to, co jest siłą,  
Wiemy, że mija kto chce rządzić światem  
I nie sądzimy, aby trzeba było  
Z nożem żyć zawsze albo z automatem.

Przemysłność broni w nieszczęście się zmienia,  
Sztandary wicher postrzępi w rozpędzie,  
Ale greckiego dziedziczki imienia  
Sława, dopóki trwa ludzkość, trwać będzie.

I wiek ciemności jak zima przemienia,  
Gdy mocne soki drzewo ma pod korą.  
Uśmiech sofistów, jak w papieskim Rzymie,  
Pióro wytrąci z rąk inkwizytorom.

Tak jak już niegdyś z Konstantynopola  
W północne kraje przywiezione księgi,  
Głos naszych mędrców na zdziczałych polach  
Tworzącej źródłem stanie się połęgi.

Ten to, JULIUSZU, zaszczył jest nam dany:  
Wykute w zlocie nowe formy wskrzeszać  
I choć nieprędki czas dalszej przemiany  
Waleczne trunki dla przyszłości mieszać.

Pozdrów ode mnie paryskie ulice  
I w luksemburskim fontannę ogrodzie,  
Także Sekwanę, gdzie dotychczas widzę  
Katedry łuki i uśpione łodzie.

Nie wiem czy stoi ten pomnik Montaigne'a,  
Którego białe usta marmurowe  
Dziewczyna żarłem kredką zarumienia  
I biegnie, w śmiechu pochylając głowę.

Ten ką i małe nad Sorboną place  
Powłaj, idąc między pergaminu,  
Gdy ci ubóstwo droższe nad pałace  
I długą myślą chcesz poprzedzić czynu.

Jest w życiorysach greckich filozofów  
Siedem lat bliżej nieznanym podróży.  
Więc kreśl ścieżka wśród wojennych prochów  
Cielom wytkniętym twoim niechaj służy.

Popołudniowych godzin opisanie  
Z nazbyt dumnego kraju przyjm w podarku  
Z nadzieją moją, że w książkach zostanie  
Mały rysunek Centralnego Parku.

New York, 1946

JACEK FRÜHLING

## ATOM JEST PODZIELNY

Max Frisch należy w Szwajcarii do nielicznej grupy poetów, którzy interesować mogą nie tylko samą Szwajcarię. Ciekawe, zasługujące na bacniejszą uwagę są jego utwozy sceniczne.

W sezonie ubiegłym czołowe teatry szwajcarskie wystawiły sztukę Frischa „Santa Cruz“. Jest to piękna opowieść na temat tęsknot i marzeń tkwiących świadomie czy podświadomie w każdym niemal człowieku. Frisch ukazuje, w jaki sposób dla ludzi, którzy jeżeli można użyć tego wyrazu, ustabilizowali się, dla których jakieś przeżycie z przeszłości, przypadkowo ożywione, stać się może przyczyną zmiany całego ich życia. Ujęcie przez Frischa opowieści „Santa Cruz“ przypomina nieco sposób i metodę stosowaną przez Szaniawskiego. Wszystko tu zaledwie zaznaczone, naszkicowane, wszystko skąpane w nastroju melancholii, miękkości, nicdomówień.

Obecnie czołowy teatr dramatyczny w Szwajcarii, „Schauspielhaus“ w Zurychu wystąpił z premierą nowej sztuki Frischa „Mur chiński“. Zanim przejdziemy do analizy i krytyki tego utworu, przyjętego na szwajcarskim terenie niezwykle gorąco, trzeba powiedzieć, co jest jej treścią. Przed kurtyną staje młody człowiek i mówi mniej więcej tak: Panowie i panie, zanim świat zginie, zanim wszystko ulegnie zagładzie, zanim zatoniemy w morzu słów i frazesów, trzeba jeszcze się zastanowić na chwilę nad ratunkiem, nad tym, gdzie jest prawda a gdzie kłamstwo, czy prawda może zwyciężyć. Więc

Potężny władca Chin, twórca historycznego muru chińskiego, zwyciężył wrogów w licznych walkach, doszedł do granic pustyni. Aby uświęcić olbrzymie, wielkopomne, bezprzykładne zwycięstwo cesarz wydaje wspaniałą garden party. Wszyscy uczestnicy przyjęcia są w maskach, tylko oczu młodzieńca z prologu nie zasłania czarna opaska. Jacyż to goście przybyli do wspaniałych ogrodów pałacu cesarskiego? Oto zjawia się na schodach pierwsza para: Romeo i Julia. W pewnej chwili Romeo mówi do ukochaney: Tej nocy świat zginie. A wiesz diaczego najdroższa? Bo atom jest podzielny.

Muzyka rozpoczyna poloneza, wśród tańczących par wylania się Napoleon. Młodzieniec z prologu, który dotychczas stał z boku, mówi do Bonaparte: Cesarzu, zginąłś na wieki — atom jest podzielny. Napoleon nie rozumie. Nie chce ustąpić ze sceny świata. Rzuca pytanie, co będzie, jeśli ludy go zawołają.

Bonaparte nie jest sam na maskaradzie. W takt muzyki wpływa przed rampę Piłat Poncki, który zaledwie przypomina sobie, że kazal ukrzyżować jakiegoś buntownika imieniem Chrystus; obok niego zjawia się Kolumb, Brutus, Kleopatra i... Nieznajoma znad Sekwany. Nie koniec na tym. Na bal mar przeszłości przyszedł również Don Juan, który mówi do Kolumba: Nienawidzę Europy. Europa to śmierć. Trzeba z niej uciekać. I na tym jeszcze nie koniec. Oto pojawił się Filip hispański. I jemu człowiek z prologu powtarza słowa: Sir, atom jest podzielny. I on tak samo, jak Brutus,

Don Juan, Piłat, Napoleon, jest wymazany z historii, musi się zapaść w nicłość. Wolno mu wypić apéritif i na tym koniec.

Jesteśmy w samym centrum spraw i zagadnień, które dręczą autora dramatu. Aby teatr nie stał się tylko areną dyskusyjną, na której poruszone są najistotniejsze, najbardziej piękne zagadnienia chwili, Frisch stara się skonstruować coś w rodzaju fabuły. Dowiadujemy się więc, że władca chiński święcący swe zwycięstwo ma śmiertelnego wroga. Wrogiem tym jest poeta Min Ko. Ten buntownik, nie uznający cesarskiej władzy, pisze przeciw cesarzowi wiersze i piosenki, budzi niezadowolenie, wzywa do buntu w imię jakichś wyższych ideałów.

I oto okazuje się, że młodzieniec z prologu to nie kto inny, tylko Min Ko. Wyczuła to córka cesarza. Jest z nim, przy nim. Nie dopuści do tego, by Min Ko poprzestał tylko na słowach. Kiedy ojciec jej każe uwięzić i poddać najstrasliwym torturom jakiegoś biedaka chińskiego, który jest niemy i wraz z tłumem nie ryczy: Wiwat cesarz!, kiedy wma-wiają w nieszczęślika, że to on właśnie jest buntownikiem poszukiwanym przez wielkiego zwycięzcę, prawdziwy Min Ko, wcielony w młodzieńca z prologu, nie ma odwagi powiedzieć całej prawdy. Zdobywa się na nią dopiero pod wpływem córki cesarza. Ale wyznanie to nie na wiele się przydaje. Zrewoltowany tłum otaczający ogrody cesarskie, w których odbywa się przyjęcie, wtargnął wprawdzie do pałacu, ale jego przywódcy nie są lepsi od tych,

których zwyciężył. Znowu triumfuje gwałt, znowu leje się krew, znowu kłamstwo jest silniejsze od prawdy...

Tak w ogólnym zarysie wygląda sztuka Frischa. Jak widać, autor „Chińskiego muru“ wstrząśnięty tym, co się od szeregu lat dzieje na świecie, zaplątał się w tyle wątków, w tyle problemów, w tyle wątpliwości, że w końcu zgubił drogę, zбочzył na manowce. Oczywiście teatr nie jest, a raczej nie powinien być tylko dyskusyjną trybuną polityczno-społeczną. Skoro jednak autor stawia nas w obliczu najbardziej aktualnych zagadnień dnia dzisiejszego, skoro wśród ruin, gruzów, nieszczęść, widma nowych kataklizmów i katastrof używa takich określeń jak kłamstwo i prawda, nie możemy przejść do porządku nad ideologicznym wygósem sztuki.

Wygłos ten jest nie tylko niezadowolający, ale i tragicznie fałszywy. Jeżeli bowiem, jak w wypadku „Muru chińskiego“, zarówno autor, jak i reżyser, ujęli postać władcy Chin w ten sposób, że raz po raz pojawiają się niedwuznaczne zupełnie aluzje do haniebnej i niesławnej pamięci władcy III. Rzeszy, teza Frischa, wyrażająca się w tym, że lud triumfujący nad despotą w niczym nie jest od niego lepszy, jest nie do przyjęcia. Może przy jakimś ujęciu najzupełniej abstrakcyjnym, to tolstojowskie niesprzeciwianie się złu nie budziłoby tak gwałtownych protestów wewnętrznych, ten nihilizm i brak choćby cienia wiary w lepszą przyszłość nie byłoby tak drażniące.

Z chwilą jednak osadzenia całej problematyki w określonej rzeczywistości, sztuka Frischa, zapowiadająca w pierwszym akcie bardzo wiele, staje się stopniowo nie tylko mniej lub bardziej pustą frazeologią, ale i odszkodnią dla obrony wszystkiego, co stare i zmurszałe. Powie ktoś: że wy też wszędzie, w każdym przejawie życia doszukujecie się reakcyjności. To po prostu obsesja.

Nie, nie obsesja! Bo cóż wynoszą z utworu Frischa ludzie dojrzały, ludzie starzy? Potwierdzenie setek wątpliwości, czy warto w ogóle walczyć ze złem, czy warto mu się przeciwstawiać, czy nie lepiej, aby wszystko pozostało po staremu, bo przecież w gruncie nic się nigdy na świecie nie zmieni. A cóż z „Chińskiego muru“ wynieść może młodzież? Nihilistyczny pesymizm, beznadziejność, zachęty do paraliżu woli. Jest to tym groźniejsze, że Frisch posługuje się dialektyką męną, nie zawsze zupełnie zrozumiałą, że używa i nadużywa wielkich frazesów i słów.

Niezależnie od pionu ideowego, który został wypaczony i skrzywiony, trzeba jednak stwierdzić, że utwór Frischa — to dzieło talentu, a przede wszystkim kunsztu scenicznego. Sztuka, zwłaszcza w pierwszym akcie, znajduje wielki rezonans, bo oto publiczność staje w obliczu spraw i zagadnień, które każdego pochłaniają, na które każdy szuka odpowiedzi. Wplecenie postaci historycznych jest pomysłem oryginalnym i interesującym. Myśli, refleksje, które wypowiadają, nie są martwe. Inna sprawa, że Frisch nie zawsze był tutaj oryginalny. I tak np. Poncjusz Piłat, mówiący o Chrystusie, przeniesiony został żywcem z mistrzowskiej noweli Anatola France'a, w której France opowiada rozmowę toczącą się podczas uczyt rzymskiej między byłym namiestnikiem Palestyny a młodzieńcem, wypytującym go o sprawę Chrystusa. Piłat nie może jej sobie z początku przypomnieć, w końcu jednak powiada: Tak, był tam jakiś Chrystus. Proszę sobie wyobrazić, ten człowiek gadał bez końca o konieczności jakichś ofiar, o tym, że jeśli cię uderzą w jeden policzek, trzeba nadstawić drugi. Cóż zwiwnego, trzeba było z nim skończyć.

Byłoby niesłuszne i niesprawiedliwe, gdyby się na zakończenie tych rozważań na temat „Muru chińskiego“ nie podkreśliło, że sztuka Frischa, budząca tyle zastrzeżeń i protestów, jest utworem, o którym warto i trzeba mówić i pisać. Autor jej jest człowiekiem myślącym i czującym, człowiekiem wielkiej wiedzy i benedyktyńskiej pracowitości. Myli się, błądzi, może nawet oddziaływa w tej chwili raczej szkodliwie, ale jest indywidualnością nieprzeciętną i w przyszłości może odegrać dużą rolę nie tylko w teatralnym życiu Szwajcarii.

Jacek Frühling

SAMUEL FISZMAN

# TAM, GDZIE BYWAŁ I TWORZYŁ WIELKI POETA

## MIEJSCA POBYTU ADAMA MICKIEWICZA W MOSKWIE

Licze takt w takt żelazne stapania zegaru,  
Lub robaczka, co kędyś lekkimi przestanki  
Kołace cicho, jakby do drzwi swej

Bliski ranek... Czekają woźnice natręty.  
Bierzcie te kilka książek i te drobne  
sprzęty.  
Jedźmy!

(A. Mickiewicz, „Dumania w dzień  
odjazdu” — Odessa, 1825).

Pojechał. W zanadru miał rękopis sonetów, pieniądze zapomogę z Liceum Richelieu w Odessie w wysokości 465 rubli 65 kop., z tego 300 rub dla siebie na drogę, a 165 rub. 65 kop. na wyżywienie koni oraz, co ważniejsze — dokument treści następującej: „Zaświadczenie Nr 1137. Okaziciel niniejszego, kandydat Wileńskiego Uniwersytetu, Adam Mickiewicz, zgodnie z rozporządzeniem Przełożonych skierowany zostaje do Moskwy dla wstąpienia na służbę w kawalerii Jego Książęcej Mości, Moskiewskiego Generał-Gubernatora, Księcia D. W. Golicyna. W związku z powyższym panowie komendanci posterunków zechcą przepuścić go bez żadnych przeszkód. Na dowód powyższego Liceum Richelieu w Odessie wydało mu niniejsze zaświadczenie przy załączeniu odpowiednich podpisów i pieczęci tego. W Odessie listopada 12. 1825 roku. Wypełniający obowiązek dyrektora, członek Zarządu Liceum, radca Dworu Iwan Dudrowicz”. (F. Wierzbowski, „K biografii Adama Mickiewicza w 1821—1829 godach”, Sankt-Pietierburg, 1898).

Podróż z Odessy trwała cały listopad i część grudnia. W pierwszej połowie grudnia sanie wiozące poetę wjechały w ulice Moskwy.

Od owego czasu minęło przeszło 120 lat i trudno sobie dziś przedstawić Moskwę, jaką w 1825 roku oglądał Mickiewicz. Znikły z centralnych ulic jeszcze i obecnie charakterystyczne dla przedmieść rosyjskiej stolicy drewniane domki. Na miejscu niewielkich „osobniaków” bogatych kupców wzniesiono muryne bloki, a pałace arystokracji zamieniono w muzea, instytucje użyteczności publicznej lub domy mieszkalne. Znikło wiele ulic i zaułków, a te, które zostały, zmieniły po większej części swoją nazwę. Zatarły się ślady stóp poetę na moskiewskim bruku i nie mało trzeba pokonać trudności, aby odnaleźć domy, w których mieszkał i przebywał. Tylko dzięki uprzejmej pomocy historyka miasta Moskwy, prof. P. W. Sytina, poszukiwania te dały pozytywny rezultat.

Sanie wiozące poetę w mroźny grudniowy dzień 1825 r. zajechały przed podrzędny hotel niejakiego Lechtnera. Mieszkał tam już od sierpnia wileński przyjaciel Mickiewicza, Franciszek Malewski. Pokoje zajezdne Lechtnera znajdowały się w 1825 roku w domu należącem do Nowosilcowa, na ulicy Małaja Dmitriewka nr 7, obecnie ul. Czechowa nr 5. Posesja oznaczona tym numerem na ul. Czechowa składa się z pochodzącego z czasów późniejszych jednopiętrowego domu na rogu Nastasjewskiego pierieulka, z parterowego budynku i kilku niewielkich budowli w podwórzu. W nich zapewne mieścił się hotel Lechtnera.

— W końcu listopada br., w rocznicę śmierci Mickiewicza i w 120-lecie jego przyjazdu do Moskwy,

odbędzie się uroczystość przemianowania ulicy Nastasjewski pierieulok, gdzie poeta zamieszkał po raz pierwszy po przyjeździe do Moskwy — na ulicę Adama Mickiewicza.

U Lechtnera Mickiewicz mieszkał dosyć krótko, bo już w lutym 1826 roku razem z Malewskim, Budrewiczem i Jeżewskim przeprowadził się do popa Iwanowa w Aleksiejewskim pierieulku, niedaleko od Małej Dmitriewki. Mieszkanie to było wygodniejsze od poprzedniego, pokój upiększało nawet pianino, na którym czasem grywał tęsknie Malewski. Dom popa Iwanowa był to niewielki, dziś nie istniejący drewniany „osobniak” w Aleksiejewskim pierieulku nr 47, (dziś ulica Niemirowicza-Danczenki). Na jego miejscu wznosi się teraz wielopiętrowy gmach mieszkalny artystów teatru im. Stanisławskiego i Niemirowicza-Danczenki.

W pierwszych tygodniach pobytu w Moskwie Mickiewicz nie zawierał nowych znajomości i spędzał czas w towarzystwie współlokatorów. Wkrótce jednak literaci moskiewscy dowiedzieli się o jego przyjeździe. Na wiosnę 1826 roku odwiedza poetę w jego mieszkaniu w Aleksiejewskim pierieulku wydawca czasopisma „Moskowskiej Tielegraf” — Mikołaj Polewoj. Wizyta ta miała ważne dla Mickiewicza znaczenie, bo to właśnie Polewoj sprawił, że poeta stał się w Moskwie znany i zdobył uznanie.

Na ulicy Wtoraja Mieszczanskaja nr 36 zachował się parterowy domek Mikołaja Polewoja. Po raz pierwszy Polewoj zaprosił do siebie Mickiewicza na wiosnę 1826 r. Od tego czasu datuje się ich bliska znajomość, a później przyjaźń. Gazeta Polewoja „Moskowskiej Tielegraf” stała się głosiłką sławy poetę. Na łamach „Tielegrafu” pojawiają się przekłady utworów poetę i pełne uznania artykuły o jego twórczości. U Polewoja Mickiewicz gościł często i zawsze był najserdeczniej przyjmowany. Tu poznał ks. Piotra Wiazemskiego, poetę, który odbywał jakiś czas służbę w Warszawie i był zaprzyjaźniony z Niemcewiczem. Wiazemski przedstawił z kolei Mickiewicza w salonach księżny Zenaidy Wołkowskiej i pani Jelagin.

W salonie pięknej i utalentowanej księżny Zenaidy, o której Puszkina pisał:

Królowo muz, urody, wdzięku,  
Magiczne berło trzymasz w ręku  
I twórcze budziś nim natchnienla...

(przekład J. Tuwima)

można było spotkać najwybitniejszych przedstawicieli ówczesnej inteligencji rosyjskiej. A wybitnych było wtedy немало.

W moskiewskich periodykach pojawiały się coraz to nowe utwory Puszkina, Żułowskiego, Baratynskiego, Jazykowa, Dawydowa, Kozłowa, Wieniewitina, Wiazemskiego i wielu innych. Wspaniałe „Gorie ot umą” Gribojedowa, na którego drukowanie cenzura nie udzieliła zezwolenia, wędrowało po Moskwie w dziesiątkach odpisów. Żukowski tłumaczył Schillera, Kozłow — Byrona, a dzieła Puszkina przepisywano ręcznie, bo nie starczyło egzemplarzy drukowanych.

Niezwykle ożywienie panowało także w kołach naukowych, szczególnie na moskiewskim uniwersy-

tecie. Niemiecka filozofia, a szczególnie Schelling, znajdowała wielu zapalonych zwolenników. W liście do Odyńca Mickiewicz tak opisuje nastroje moskiewskie:

„Tutaj każdy nowy tomik wierszy Goethego obudza powszechny entuzjazm, zaraz jest tłumaczony i komentowany. Każdy romans Waltera Scotta natychmiast w obiegu, każde nowe dzieło filozoficzne już jest w księgarni.”

Równocześnie z rozszerzaniem się horyzontów umysłowych rodzą się wśród ówczesnej inteligencji idee



Autoportret A. Puszkina

wolności i przemian społecznych, współczucie dla uciśnionych i nienawiść do carskiego despotyzmu, a stąd wielkie zainteresowanie dla ciągle buntującej się i walczącej o swą niepodległość Polski. W roku 1823 Rylejew pisze do Niemcewicza: „Nazwiska Kościuszki, Kołłątaja, Małachowskiego, Poniatowskiego, Potockiego, Niemcewicza i innych wybitnych patriotów stale będą



Mikołaj Polewoj  
Drzeworyt A. Troickiego

z czcią powtarzane, a ich czyny sławne będą zawsze dla młodzieży jako przykład godny naśladowania.”

Oto atmosfera, którą znalazł Mickiewicz w salonie księżny Wołkowskiej: wysoka kultura i stosunek pełen serdecznego uczucia, połączony z szacunkiem i największym podziwem dla jego talentu. Wpłynęło to ożywczo na poetę. „Dojrzywa jako artysta, jako człowiek. Tu na obcej ziemi staje się owym władcą mowy polskiej, na jakiego ta mowa czekała przez wieki” (z przedmowy T. Boya-Zeleńskiego do „Dzieł Mickiewicza”). Tu na obcej ziemi jego poezja, jego improwizacje budzą powszechny zachwyt. Moskwa rychlej niż Warszawa uznała w nim największego polskiego poetę. „Pan Mickiewicz należy do małego grona wybranych, których los uszczęśliwił prawem reprezentowania literackiej sławy swoich narodów” — pisze w 1827 roku ks. Piotr Wiazemski („Moskowskiej Tielegraf”).

U księżny Wołkowskiej Mickiewicz bywał bardzo często. Księżna

była uprzejma, może więcej niż uprzejma. A Mickiewicz?

O, niech te wszystkie bóstwa nad  
pamiętek ziemią  
Wiecznie snem marmurowym i brązowym  
drzewi!  
Ciebie tylko niech piękna przewodniczka  
zbudzi,  
Najmniejszy z bogów, dotąd uczczony  
od ludzi!  
Swawolniku! — Uciekisz z Afrodyty Iona,  
Drzemiesz, ssąc rubinowe pierś  
winogrona.  
Wielki grzech bez ofiary młnąć bóstwo  
twoje!  
O piękna Nimfo! Bądźmy nabożni oboje!

Jak wiemy z dalszego ciągu utworu oraz świadectw najbliższych, należne bóstwu ofiary ani tym razem, ani później nie zostały złożone. Stosunki między księżną a poetą ograniczyły się do szczerzej i długotrwałej przyjaźni.

Fasadę domu Wołkowskiej, zupełnie zresztą przebudowaną, oglądać można i dziś na ul. Gorkiego, dawniej Twierskiej, niedaleko od Aleksiejewskiego pierieulka. Nie ma za nią ani pokoju greckiego, któremu zawdzięczamy cytowany piękny wiersz „Na pokój grecki”, ani wspaniałego salonu. Już na wiele lat przed rewolucją dom ten przestał być rezydencją Wołkowskich. Parter przerobiono na słynny niegdyś w Moskwie magazyn Jelisiejewa — obecnie „Gastronom nr 1”.

Dom Kiriejewskich za Krasnymi Worotami, gdzie mieścił się o wiele skromniejszy salon pani Jelagin, bliskiej krewnej Żukowskiego, dotrwał do dziś w niezmienionej postaci i mieścił się w Choronym Tupiku nr 4, niedaleko od stacji metro — Krasnyje Worota. W salonie pani Jelagin, jak pisze w swoich „Zapiskach” Ksenofont Polewoj, „literatura była koniecznym elementem życia”. Jej dwaj synowie z pierwszego męża, bracia Kiriejewscy, utalentowani pisarze, skupiali koło siebie najwybitniejszych poetów owego czasu. U pani Jelagin Mickiewicz poznał pisarza Chomjakowa, znanego bibliofila Sergiusza Sobolewskiego, któremu Puszkina — a także Mickiewicz — oddawał do oceny swoje utwory przed ogłoszeniem. Tu poznał poetów Baratynskiego i Wieniewitina, tu widywał Puszkina.

Mówiąc o istniejących po dziś dzień domach, w których Mickiewicz często bywał, nie można nie wspomnieć o pałacu ks. Piotra Wiazemskiego i o siedzibie Sergiusza Sobolewskiego na Sobacznej Płoszczadce. Pałac Wiazemskiego znajdował się pod numerem 9 przy ulicy noszącej teraz nazwę Stankiewicza; główna jego część została zniszczona, zachowała się tylko oficyna z gankiem, w której jakiś czas mieszkał Puszkina i gdzie kilka dni, jesienią 1827 r., gościł Mickiewicz.

Sobaczaja Płoszczadka należy do rzadkich już w Moskwie zakątków, które w ciągu stu lat prawie że nie zmieniły wyglądu. Stylowe domki cichych, jakby w śnie pogrążonych najbliższych uliczek i niewielkiego placu dużo razy oglądały naszego poetę, który tu często przychodził do swego serdecznego przyjaciela, bibliografa i bibliofila Sergiusza Sobolewskiego. U Sobolewskiego zbierała się, dyskutowała i bawiła w sposób niczym nie skrepowany cała ówczesna brać literacka — Wieniewitina, Kiriejewscy, Rożalin, Baratynski, Pogodin. Tu So-

bolewski czytał swoje słynne nieprzyzwoite wiersze, tu dyskutowano zacielnie o filozofii, tu osądzano nowe utwory Puszkina, Mickiewicza i innych. U Sobolewskiego zatrzymał się w czasie swego pobytu w Moskwie w 1826 r. Puszkina, tu czytał po raz pierwszy „Borysa Godunowa”. Tutaj spotykał Mickiewicz wszystkich tych, dla których miał „zawsze gołębią prostotę”.

Skromny domek Sobolewskiego, który w roku 1826 należał do radcy dworu pani Rankiewicz, można było oglądać jeszcze w roku 1942 w mało zmienionej postaci na rogu Sobacznej Płoszczadki i Borysoglebskiego pierieulka. W czasie niedawnej wojny bomba zniszczyła narożnik domku od strony Sobacznej Płoszczadki i cały front od strony Borysoglebskiego pierieulka. W ocalałej części mieści się teraz sklepik.

W Aleksiejewskim pierieulku Mickiewicz przebywał do września 1826 roku. Tu przygotowywał do druku sonety. Tu rozpoczął pracę nad „Konradem Wallenrodem”. Tu napisał „Ugolina”, przekład 33 pieśni „Boskiej Komedi” Dantego oraz wyjątków z jej drugiej i 32 pieśni.

Następne mieszkanie poetę, w domu generałowej Jakowlewowej, na Pokrowskim bulwarze, za pocztą główną, również nie istnieje. Na jego miejscu stoi dom nr 9, na Czystoprudnym bulwarze. Na Pokrowskim bulwarze Mickiewicz przeniósł się z przyczyn oszczędnościowych. Wprawdzie oficjalnie służył jako „12 klasa Adam Mickiewicz” u księcia Golicyna, ale ten ani go nie zatrudniał, ani mu nic nie płacił. Na Pokrowskim bulwarze poeta zakończył i wydał swoje „Sonety” oraz pisał „Konrada Wallenroda”. Tu w obecności Puszkina i Polewoja czytał balladę „Alpuhara”. Z Pokrowskiego bulwaru miał bardzo blisko do Miasnickiej, przemianowanej na ulicę Kirowa, gdzie mieszkała malarka, niedoszła żona poetę, Karolina Jaenisch. Sława i uznanie, jakimi się cieszył w Moskwie, sprawiły, że wielu chciało znać język, w którym tworzył. Mickiewicz udzielał lekcji języka polskiego kilku damom, między innymi i pannie Karolinie.

Czy się w Karolinie kochał — trudno powiedzieć. Pisał kiedyś do Daszkiewicza: „Z panią S. przyszliśmy nieco do zgody. Cóż robić, kiedy we mnie jakiś diabeł siedzi. Pierwszy raz w życiu jestem do niczego. Nie pojmuję przyczyny, nie już malar-ka tak mnie oczarowała, że się stałem strasznie dla drugich oziębły”. A w innym liście, także do Daszkiewicza, czytamy: „Nie ma wątpliwości, że mi się malarka podobała, ale bynajmniej zakochany nie jestem na tyle, abym zazdrościł, albo żyć bez niej nie mógł. Niesłusznie mniemasz, że rzeczy między nami daleko zaszły”.

W wiele lat później 82-letnia Karolina Jaenisch-Pawłowa tak pisała do Władysława Mickiewicza: „Dla mnie żyć on nie przestał, kochał go dziś, jak kochałam przez tyle lat nieobecności, jest moim, jak był kiedyś”. („Żywot Adama Mickiewicza”). I komu tu wierzyć?

Domu Karoliny Jaenisch nie udało mi się niestety odnaleźć.

Na Pokrowskim bulwarze Mickiewicz przeżył zimę 1826 r. i wiosnę



Ks. Zenaída Wołkonska według miniatury Izabeya

się pomniki wielu dobrych przyjaciół poety, gdzie na cokole pomnika Puszkina wyryty jest pierwszy wiersz z jego utworu, napisanego w związku z wyjazdem Mickiewicza za granicę „on między nami żył“, to czasem może się nam zdawać, że widzimy Laurę, która

„Jak bóstwo, różnobarwnym zakryta obłokiem.

Jedne kwiaty na kolana,  
Drugie pomiędzy warkoczów pierscienie  
Sypląc się, błyszczą, jak girlanda, tkana  
W perły i drogie kamienie.

Tam kwiatek do nóg jej pada,  
Ten odleciał i, smutny, chce się w strumień rzucić,

Inny błdził w powietrzu i zdaje się nucić:  
Tu miłość włada“.

Jesienią 1827 r. Mickiewicz i Małewski wyjeżdżają na jednodniową wycieczkę do pałacu Jusupowa



Adam Mickiewicz według olejnego portretu Karoliny Jaenisch

Widocznie nie zamierzał w Moskwie zostać dłużej, bo nie wynajął oddzielnego pokoju, zamieszkał u swego znajomego Cypriana Daszkiewicza, w domu, w którym mieścił się kantor Moskiewskiego Banku Asynacyjnego, miejsce pracy Daszkiewicza. Piękny ten budynek, wzniesiony w 1817 roku, świeci i dziś białymi kolumnami na Nikickim bulwarze nr 12.

W połowie kwietnia, wzruszony niezwykle serdecznym wieczorem pożegnalnym, jaki mu sprawili moskiewscy literaci, wrócił do Petersburga.

W kwietniu 1828 roku rozpoczyna się druk tłumaczonego prozą na język rosyjski „Konrada Wallenroda“ w miesięczniku „Moskowskij Wiest-



Karolina Jaenisch

1827 r. W maju 1827 r. wraz z Małewskim przeniósł się dość daleko od centrum miasta na Gorochowe Pole do drewnianej, nawiasem mówiąc bardzo zapluskwionej, oficyny pałacu Razumowskiego. Dochody z wydania „Sonetów“ widocznie nieco poprawiły finanse poety, bo mógł sobie pozwolić na wynajęcie lepszego lokum, o 7 rubli droższego niż poprzednie. Tutaj w ciągu lata kończył „Konrada Wallenroda“, tutaj zapewne napisał przekład „The Meeting of the Waters“ Tomasza Moora, i „Podróżnego“ Goethego oraz niewielkie utwory: „Do doktora S“, „Nieznajomej siostrze przyjaciółki mojej“, „Do Marii Szymanowskiej“, „Na pokój grecki“. Drewniana oficyna pałacu Razumowskich nie zachowała się, ale sam pałac nie uległ przeróbkom. W jego salonach rozlokował się Państwowy Instytut Wychowania Fizycznego, a ulica Gorochowa nosi teraz imię znanego rosyjskiego architekta, twórcy pałacu Razumowskich — Kazakowa. „Wielki, wspaniały, zapuszczony angielski ogród przetrzynięty na pół rzeką Jauzą“, którym tak się zachwycali Mickiewicz i Małewski, należy także do przeszłości. Zostało zaledwie parę drzew, no i rzeka Jauza, w której się kąpali.

Latem 1827 r. poeta wyjeżdża na krótki czas do Ostafiewa, letniej rezydencji księcia Piotra Wiaziemskiego. Ostafiewo znajduje się niedaleko miasteczka Podolsk pod Moskwą. Obszerny dom z kolumnami, w którym mieszkał poeta, jak i piękny park, zostały oszczędzone przez czas i ludzi. W Ostafiewie napisał piękny przekład z Petrarcki: „O jasne, słodkie, o przeczyste wody, w których zwierciadlanej fali Laura kąpała swą anielską postać“. Nastrój panujący w Ostafiewie — szczególnie ułatwia przeniesienie się myślą w owe dawne czasy sprzed stu dwudziestu lat. Gdy zajedziemy do byłej rezydencji Wiaziemskich w letni, słoneczny dzień i pograżymy się w zadumie w jakiejś starej alei parku, gdzie w cieniu drzew wznoszą



Improwizacja Mickiewicza w Salonie ks. Wołkonskiej. Obraz Miasojedowa

w Archangielskoje pod Moskwą. Wspaniały ten pałac zamieniony został po rewolucji po części na muzeum, po części na sanatorium.



Dom ks. Wołkonskiej na ul. Twierskaja, obecnie Gorkiego

Z letniej rezydencji księżny Wołkonskiej Woroncowo pod Moskwą, gdzie latem dość często poeta bywał, pozostały tylko nieznaczne fragmenty budowli.

Brak opatu oraz wczesne, silne mrozy wypędziły w październiku 1827 roku Mickiewicza i nieodłącznego Małewskiego z drewnianej oficyny pałacu Razumowskiego na Gorochowej ulicy.

Przyjaciele przenieśli się znów bliżej centrum miasta do domu kupca Langa na Kiskówce nr 306, gdzie na trzecim piętrze, nad drukarnią Medyczo-Chirurgicznej Akademii, wynajęli dwa pokoje. Dom ten, to istniejąca do dziś dnia zwykła czynszowa kamienica w Srednie-Kisłowskim pierieulku nr 3, niedaleko ul. Herzena. Były lokal drukarni zamieniony został na skład papieru jakiegoś towarzystwa wydawniczego. W domu Langa na Kiskówce Mickiewicz rozpoczął starania około wydawania w Moskwie periodycznego pisma w języku polskim pt. „Iris“. Starania te zakończyły się niepowodzeniem.

W grudniu 1827 roku Mickiewicz wraz z Małewskim towarzyszył księciu Golicynowi w jego podróży do Petersburga, gdzie udało mu się nareszcie załatwić formalności, związane z ocenowaniem i wydaniem dawno do druku gotowego „Konrada Wallenroda“. Do Moskwy wrócił sam — Małewski został w Petersburgu — w końcu stycznia 1828 roku, i to dość nagle, nie doczekawszy się wydania „Wallenroda“. „Konrad Wallenrod“ wyszedł spod prasy 21 lutego 1828 roku, podczas nieobecności poety w Petersburgu. Przyczyną nagłego wyjazdu była podobno choroba „znajomej i przyjaciółki“, o której zresztą poza domysłami nic dokładnego nie wiemy.

Redaktora „Moskowskiego Wiestnika“, Mikołaja Pogodina, poznał poeta w 1827 r. Na podstawie pamiętnika Pogodina, znajdującego



Dom kupca Langa na ul. Kisłowskiej, nr 306, obecnie Sredniekisłowski pierieulok 3

się w Bibliotece im. Lenina w Moskwie, można dokładnie ustalić daty wizyt Mickiewicza w jego dom mieszczącym się teraz w Diktiarny pierieulku nr 4. 8 listopada 1827 r. Pogodin urządził u siebie przyjęcie, na którym był obecny Mickiewicz. Małewski, Wieniewitinow, Jelagin, Kiriejewski. Mickiewicz i Małewski wyszli wcześniej niż inni i Pogodin bardzo żałował, że nie zostali dłużej, bo z przyjemnością z nimi rozmawiał. W lutym 1828 r. Mickiewicz był wielokrotnie u Pogodina. 5 kwietnia 1828 r. czytał u niego „Konrada Wallenroda“. 26 marca 1829 r. Pogodin przyjmował u siebie śniadaniem odjeżdżającego za granicę Mickiewicza. Na śniadaniu obecny był Puszkina, Chomiakow i wielu innych pisarzy. Ze wspomnień Pogodina wiemy, że na tym śniadaniu Mickiewicz i Puszkina wiedli bardzożywioną rozmowę.

U Cypriana Daszkiewicza mieszkał Mickiewicz zapewne kilka tygodni w marcu i kwietniu 1829 roku, gdy, wiedząc już o mającym nastąpić wyjeździe za granicę, przyjechał do Moskwy, by po raz ostatni pomówić z Karoliną Jaenisch i pożegnać moskiewskich przyjaciół.

Dom na Nikickim bulwarze jest ostatnim mieszkaniem poety w Moskwie. Odtąd mieszkał już tylko w pamięci i sercach tych, którzy mieli szczęście z nim się tutaj bliżej zetknąć. Nie zdołała go stamtąd wygnać carska cenzura, która nie tylko zabroniła wydawania jego dzieł, ale nawet wymawiania jego nazwiska.

„Gdy na publicznym obiedzie, wydanym na cześć Granowskiego (wybitnego prof. historii na Moskiewskim Uniwersytecie) w 1833 roku, Chomiakow wznosił kielich ze słowami: „Za wielkiego, nieobecnego słowiańskiego poe“ — imię, (którego nie śmieli wymówić) nie było potrzebne — wszyscy wstali, wszyscy wzniesli kielichy i stojąc w milczeniu wypili za zdrowie wygnanca“. (Herzen, „Byłoję i dumy“).

Samuel Fiszman



Dom Kantoru Moskiewskiego Banku Asynacyjnego



Róg ul. Nastasjewskij pierieulok i Mała Dmitriewka. Tu w r. 1826 mieszkał Mickiewicz u Lechnera

KAZIMIERZ WYKA

# FAUST NA RUINACH

Logika myśli myślnych nocą jest inna od logiki dziennej. Noc już głęboka. Na zakręcie ulicy rosną przed moim oknem nadwiślańskie topole. Jest ich kilka, wierne towarzyszkę nocnych godzin. Egzemplarz „Fausta”, który leży na biurku, nie daje się czytać jako egzemplarz „Fausta” po prostu. Każę myśleć o sobie logiką myśli nocnych.

Czarny tom jest dosyć zniszczony, jakby wydobyty spod gruzów. Nosi pieczęć: „Der Stadthauptmann in Warschau. Deutsche Bücherei”. Na zachowanej naklejce czytelnicy data: ostatni raz wypożyczony był do czytania 17 czerwca 1944 roku. Kiedy w Wielki Czwartek ubiegłego roku, — po raz pierwszy po powstaniu przyjechałem wówczas do Warszawy — wracałem na nocleg przerażony i zgnębiony, ten czarny egzemplarz był pierwszą książką, jaką ujrzałem wśród ruin. Na Nowym Świecie, we wnętrzu wypalonego domu, walizeczka, jakieś szpargały. Chociaż miałem już „Fausta” — kupiłem. Ponieważ było to w spalonej Warszawie — kupiłem. Dlatego że był Wielki Tydzień — kupiłem.

Welch tiefes Summen, welch ein heller Ton  
Zieht mit Gewalt das Glas von meinem  
Munde?  
Verkündiget ihr dumpfen Glocken schon  
Das Osterfestes erste Feierstunde?

Coraz głośniejsze pluszcze dorożka. To wspomnienie z filmu. Uciszyła się muzyka i podpiwają łodzią do brzegów atolu. Spłątane korzenie przybrzeżnej roślinności. Wyglądają jak pokręcone i z wody sterczące węże. W encyklopedii: namorzyny, mangrowe. Krótka fala klaska i pluszcze. Cichnie za rogiem domu. Conrad, Gauguin, „Noa-Noa”. Noa-noa znaczy bardzo wonna. Bardzo wonna wyspa i dziewczyna. Modli się dziewczyna tahitańska:

I strzeż mnie przed tym, co krąży grózb  
pelen  
Co lekkiem rad jest przejmować;  
I przed tym, komu włos się zawsze jeży;

Wyprawa Bronisława Malinowskiego na wyspy Trobriandzkie miała niewątpliwie cele czysto naukowe i poznawcze. Nie podejrzewam, by kierowały nim te same pobudki, jakie francuskiego malarza zaprowadziły na Tahiti i od noża francuskiego marynarza kazaly mu tam zginąć w obronie tubylczej\* dziewczyny. Zginął, chociaż zrazu nie ufał wonnym dziewczętom. Obawiał się choroby, którą przynosiła im Europejczycy, jako — tak sam powiada — pierwszy stopień wtajemniczenia w cywilizację.

Wyspy Trobriandzkie i Wyspy Salomona są tak dalekie, że nawet średniowieczne mapy zupełnie ich nie znają, chociaż tak lubią wyspy fantastyczne.

Pewien szczegół z ich historii mówi o tym jeszcze dobitniej. Odkryli Wyspy Salomona hiszpańscy żeglarze pod koniec XVI stulecia i na całe dwa wieki zostały zapomniane. Dopiero w drugiej połowie XVIII wieku, kiedy filozofowie szukali po dalekich ładach poniechanych rajów ludzkości, znów do nich dotarli i po nazywał je z francuska wielki żeglarz Louis Antoine de Bougainville.

Przed drugą wojną światową obwieszczał publicznie, że centralnym basenem politycznym świata staje się Ocean Spokojny. Świat białego człowieka rośnie — głosili. Zrazu jak pleśń obsiadał przybrzeżne skały i płaski Morza Śródziemnego. Spęłniał z nich, ominął słupy Herkulesa i centralnym oceanem globu uczynił Atlantyk. A teraz, przepowiadał publicznie, Atlantyk staje się jedynie wewnętrzną zatoką świata białych, a miejsce przyszłych wojen przenosi się na Ocean Spokojny. Tezy podobne równie są efektowne i słuszne, co nie mówiące. Błyskotliwie stwierdzają objawy, niczego nie uczą o powodach. Dobrze się natomiast godzą ze ścisłym bełkotem Niemców: Kraftfeld der Weltpolitik. Na półkach spłątarki jeszcze niedawno spoczywały stare numery „Das Reich”. Zielnik tego bełkotu.

Malinowski nie jeździł, by sprawdzić publicystów. Uczynił tylko coś podobnego, co Conrad. Kiedy Józef

Korzeniowski zapragnął zostać żeglarzem i pisarzem mórz, wszedł do kultury, która panuje nad największą ilością oceanów. Bronisław Malinowski, kiedy zapragnął utwierdzić się w karierze socjologa, wszedł do kultury, która włada najbardziej zróżnicowanymi stopniami rozwoju człowieka. Od atolu Bikini po atol Nowego Jorku. Wiem, że nie atol. Logika stylistyczna nocy. Przez konary topoli przedziera się reflektor samochodu, uderza w okno; niknie, zapewne przypadł do jezdnia.

Socjologowie są dzisiaj jedynymi ludźmi, którzy przechowali coś z dawnych marzeń o utraconym rajach ludzkości, czy przynajmniej o nieskażonym stanie natury, w jakim Rousseau umieszczał człowieka. Stan nieskażony nie posiada jednak dla nich jakiegokolwiek znaczenia etycznego. Po prostu oznacza, że stawiając pewne hipotezy naukowe należy słusność ich sprawdzać u ludów pierwotnych. Formy miłości sprawdzać u ludów z muszelkami, a nie u ludów z zegarkami kieszonkowymi. Rodzina Europejczyka niczego nie uczy o prafarmach socjologicznych rodziny, rodzina Buszmena tak. Dawniej czynili to również utopiści ekonomiczni. Dawniej — to znaczy póki nie powstały kartele, bo trudno na Tasmanii szukać ich załazków.

Dlatego to, by badać „Życie seksualne dzikich”, popłynął Malinowski w najbardziej zapadłą kąt świata. Na lagunach trobriandzkich spędził dwa lata pierwszej wojny światowej. Gdyby nie krótkie napomknięcia we wstępie dzieła, trudno by się domyślić, że właśnie w tych latach, kiedy młodzież europejska walczyła nad Somną i Stochodem, na dalekich wyspach przygotowywał się materiał jej powojennych obyczajów. Malinowski pisze wyraźnie: „Prosto i bez ogródek prosi się o spotkanie mające na celu li tylko zaspokojenie seksualne. Jeśli zaproszenie zostaje przyjęte, zadowolenie pragnień chłopca eliminuje całą romantyczną nadbudowę, tęsknotę za nieosiągalnym i tajemniczym. Jeśli zaś zostanie odrzucone, nie ma miejsca na tragedię osobistą, chłopiec bowiem od dzieciństwa przywykł do tego, że jego pragnienia seksualne bywają częstokroć pokrzyżowane, i że romans z inną dziewczyną szybko i skutecznie wyleczy go z takiej choroby”.

Latem 1942 roku pod laguny Wysp Salomona, archipelagu na tej mlecznej drodze wysp szczęśliwych, którą masyw Nowej Gwinei jak welon ciągnie za sobą po wodach oceanu, podpłynęli ludzie. „Lekkiem radzi przejmować, grózb pełni”. Działa okrętowe posiadają nośność i precyzję większą niż artyleria lądowa. Na wyspach, rezerwach najdawniejszych form socjologicznych, wysiedli mieszkańcy atolu Nowego Jorku. Znad Wielkich Jezior również. Jak reagowali tubylcy na przygotowanie ogniole przeprowadzone przez artylerię okrętową, nim do plaż dobiły gumowe łodzie (czy pluszcza? znów pluszcze dorożka) — tego nie wiemy. W czasie drugiej wojny światowej socjologowie też byli zmobilizowani. Dopiero w przyszłości opisać nowe totemy i nowe tabu szczepów melanezyjskich. Nie ulega bowiem wątpliwości, że niewypał ciężkiego pocisku posiada wszelkie właściwości, by pozostać groźnym tabu. O nowych

formach miłości napisał już Gauguin.

Naprzeciw japońskiej inwazji zagrażającej Australii wyszło przeciwuderzenie amerykańskie. Już zimą tego samego roku, po upadku Singapuru, dywizje australijskie walczyły w północnej Afryce odplynęły pośpiesznie do ojczystej części świata. Mac-Arthur wymykał się z twierdzy Corregidor bodaj że na motorówce. Powracał w stalowym kadłubie, który jest bardzo honorowany, jeśli się znajdzie na dnie mórz, w Porcie Zatok Północnych. Taki port odkrył w czasie drugiej wojny światowej jeden z pisarzy i lotników polskich, przebywający w Anglii. Odkrył słusznie. Bo niebo marynarzy jest na pewno na dnie wód. Tam Nelson rozmawia z Marlowem.

Tak się zaczęły spełniać przepowiednie publicystów. W małym miasteczku byłej Galicji i Lodomerii, na starym atlasie (firma kartograficzna Justus i Perthes w Lipsku) palce chodzili po przestrzeniach pomiędzy Donem a Wołgą i Kaukazem. Później otwierały kartę Polinezji i Melanezji. Wyspy Ysabel, Choiseul, Bougainville, Guadalcana leżą dla mnie zawsze na rzekach Kubań, Terek, Manycz, Kama. W rogu mapy widniał — dla porównania — kształt Austro-Węgier. Jakże małe były Austro-Węgry wobec Nowej Gwinei. Niewiększe od znaczka z Franciszkiem Józefem, miłościciel i po apostolsku okupującym Bośnię i Hercegowinę. Najstarszy znaczek mojego dzieciństwa.

Również przebudowa współczesnego prawa konstytucyjnego rozpoczęła się na Pacyfiku. W niewiele lat później — pisaliśmy dotąd o lecie 1942 roku, niewiele lat potem oznacza rok ubiegły i obecny — na porzeżach tego oceanu zaszło zjawisko, którego skutki prawne nie dają się dotąd przewidzieć. Ani po wynalezieniu noża, ani po wynalezieniu prochu, nawet po pierwszym przelocie samolotu żaden z narodów nie wprowadził noża, prochu i samolotu do swojej konstytucji. Tymczasem po pierwszym użyciu bomby atomowej delegacja polska w Organizacji Narodów Zjednoczonych postawiła wniosek, ażeby wszystkie państwa wprowadziły do swolch konstytucji zakaz używania bomby atomowej. Prawdopodobnie do wpisania odpowiedniego paragrafu nie dojdzie. Anglosascy znawcy prawa konstytucyjnego udowodnią, że zwyczajowa forma tego prawa nie pozwala na wprowadzenie wynalazków do tekstów konstytucyjnych. Jeżeli lokomotywa Stephensona, oddana inicyjatywie prywatnej, bynajmniej nie zaszkoziła rozwojowi kolei żelaznych na świecie, to... Można dodać na ich wytłumaczenie, że Wielka Brytania rządzi się bez konstytucji i aktu, który my tak nazywamy, nie posiada w swoim ustroju prawnym.

Ktokoś wiek tęknął się z językoznawstwem, wie, co oznacza gwiazdka przy pewnym słowie. Na przykład: \*agni. Jest to praindoeuropejska forma polskiego ognia, łacińskiego ignis, litewskiego ugnis etc. Na przykład: \*elen. Podobna forma greckiego elofos, rosyjskiego oleń, polskiego jelen. Forma praindoeuropejska, czyli istniejąca w języku praindoeuropejskim. Ale czy taki język istniał kiedykolwiek rzeczy-

wiście, czy istniał określony lud na określonym terytorium porozumiewający się za pomocą tych słów z gwiazdkami, od jakich się roi w dziełach językoznawców? Twierdzą oni, że tak. Kiedy odpowiadają tak, konieczność metodologiczna, która nakazuje sprowadzać słowa do wspólnych źródeł, utożsamiają niesłusznie z faktem historycznym.

Nie będziemy się z nimi spierać. Bo, czy ktoś mówił czy nie słowami z gwiazdką, po ludzie takim nie przechowały się tabliczki klinowe, papirusy czy hieroglify. Nie zachowały się również płyty z nagraniem wymową. (Szkoda. Pięknie byłoby usłyszeć Cycerona z płyt. Zamieniłbym chętnie za głos Carusa). Słów z gwiazdką nie usłyszymy już nigdy. Każde z nich pozostanie na zawsze słowem hipotetycznym i pomocniczym. Potrzebnym tylko po to, ażeby lingwiści podobne do siebie brzmienia słów mogli sprowadzać do jakiegoś wspólnego prabrzmienia. Słowo z gwiazdką zostało rzucane naszą zdolnością myślenia logicznego i niesprzecznego na jakiś nie dający się bliżej oznaczyć ekran przeszłości. Jest dzieckiem metodologii, nie historią człowieka. I dlatego, że jest dzieckiem metodologii jedynie, przybierać może różne wyglądy. Te same słowa różni uczeni sprowadzają do odmiennych słów z gwiazdką: sama forma \*agni nie jest całkowicie pewna. Spierają się przy tym namiętnie, które słowo z gwiazdką jest prawdziwe, które mylnie. Ponieważ ani na płycie gramofonowej, ani na hieroglifach sprawdzić się nie daje, spory ich bywają namiętne, jak spory średniowiecznych doktorów. Bo czy powszechniki są ante rem, czy post rem, to również się sprawdzić nie daje.

Ilekróć przeczytałem twierdzenie, że materia jest tylko specjalnie skupioną i sprężoną energią, ilekróć też ujrzałem formuły matematyczne oznaczające takie twierdzenie, myślałem: słowo z gwiazdką. Trochę trudniejsze słowo z gwiazdką. A kiedy zdarzyło się przeczytać, że noga stołka, na którym siedzę, gdyby zwolnić zawartą w niej energię, zdolna jest zniszczyć... powiadałem sobie: oto przyrzekają mi puścić płytę z mową Demostenesa. Piszę ja, powiadam ja, ale tak sądziło na pewno 99 procent kulturalnej ludzkości i tyleż procent moich przyjaciół. Mam ich około stu, a tylko jeden matematyk powiadał niekiedy: pitagorejczycy mieli rację. Liczba sięga do jądra bytu. Wtedy zamiast słuchać sądziłem, że przechodził on lekko zaćmienie filozoficzne, szczególnie niebezpieczne u osób poświęcających się nauce ścisłej:

Habe nun, ach! Philosophie,  
Juristerei und Medizin  
Und leider auch Theologie  
Durchaus studiert, mit heissem Bemühen.  
Da steh' ich nun, ich armer Tor.

Bolesław Miciński przypomina w „Portrecie Kanta” wypadek, jaki królewickiemu filozofowi wydarzył się w ostatnich latach życia. Upadł na przechadźce. Przechodzące damy pomogły mu się podnieść. „Jakież może być niebezpieczeństwo przy upadku tak lekkiego ciała?” — pocieszył owe panie i jednej z nich ofiarował różę. Kant był beztróski, bo nie znał formuł współczesnej fizyki.

W Hiroshimie wybuchło zaledwie kilkanaście procent dającej się zwolnić energii uranu. Cóż za marnotrawstwo! Na Bikini procent niezmarcnawanej energii był zapewne dużo większy. Atol Bikini zamieszkiwali tubylcy, których troskliwie wysiedlono. Nie byli już potrzebni do doświadczeń nad ludźmi, te przeprowadzono na Japończykach. Na Bikini wystarczyły kozy, łodzie podwodne i stare lotniskowce. Wysiedlonych tubylców można było oglądać na dodatkach filmowych i w pismach ilustrowanych. Ich królik miał kilka żon. Królowie w Europie nie posiadają nawet państw, a co dopiero kilka żon.

Patrząc na nagusów nie pojmujących ani zdźbła z wydarzeń, które rozegrały się pod ich palmami, pomyślałem — i nocą Walpurgii widzę to jasno — że mniejsza była różnica pomiędzy Zeusem a zwykłym Grekiem, aniżeli pomiędzy białym, który z formułą mającą wybuchnąć przybył na atol, a jego mieszkańcami. Mniejsza, aczkolwiek Zeus należał do gatunku bogów, zwykły Grek do gatunku ludzi; mieszkaniiec Bikini i ekspert z Polski bawiący na pokazie, obydwa do gatunku ludzi. Cóż był zdolny uczynić Zeus? Nie ulegał Chronosowi, miewał kobiety tyle co królki z Bikini, a kiedy znalazła się oporna, zdobywał się na podstęp ze złotym deszczem. Miał także władzę nad piorunami, ale ich nie wyrabiał. Niewiele. Nawet przez myśl mu nie przeszło, by zajrzeć w rachuby pitagorejczyków, by zainteresować się twierdzeniem o sumie boków w trójkącie. Sądził naiwny, że matematyka zawsze służyć będzie budowie świątyni ku jego chwale.

Siła człowieka w dwóch wiekach cywilizacji maszynowej tak wzrosła, że jednym swoim ramieniem sięgnął wyżej bogów. Jesteśmy sami. My, ludzie. Jesteśmy władcami naszego losu aż do jego tajemnic przypisywanych dotąd bogom. Znużona i przerażona ludzkość dzisiejsza cofa się przed tą pewnością. Sądzi, że bogom dana jest tylko władza śmierci nad drugimi, zapomniawszy w lęku, że dana im jest również władza nieśmiertelności nad sobą. Nie pamięta, że Zeus był nieśmiertelny po granice dostępne temu zjawisku. Żyje wśród nastrojów nowego końca świata. To kłamstwo. Końca świata nie będzie. To tylko noc Walpurgii jeszcze się nie skończyła i wśród ocasionalnych narodów błądzą jej zjawy.

Kiedy na Bikini miała spaść pierwsza bomba atomowa, byli tacy, co przepowiadali, że wzniecona wybuchem fala obiegnie świat i zniszczy lądy. Byli również zawiedzeni, kiedy to się nie stało. Wstrząs te głosi. Morzem Egejskim wstrząsa trzęsienie ziemi, syreny śpiewają spłoszone:

Schäumend kehrt die Welle wieder,  
Flüstert nicht mehr im Bett darnieder,  
Grund erhebt, das Wasser staucht,  
Kies und Ufer berstend raucht.  
Füchten wir! Kommt alle, kommt!  
Niemand, dem das Wunder frommt.

Fort! Ihr edlen frohen Gäste,  
Zu dem seelich heltern Feste,  
Blinkend, wo die Zitterwellen,  
Ufernetzend, leise schwellen;  
Da, wo Luna doppelt leuchtet,  
Uns mit hell'gem Tau befeuchtet.  
Dort ein freibewegtes Leben,  
Hier ein ängstlich Erbeben;  
Eile jeder Kluge fort!  
Schauderhaft ist's um den Ort.

Wielu pragnęłoby uciec jak syreny. Nie ma ucieczki. Stają u okna. Przepływa za nim droga twarz. I głos podnosi się ciągle słyszany. Większość starych topól w Polsce sądził Sobieski. Zazwyczaj jadąc na odsiecz Wiednia. Czy te również?

Oswald Spengler był myślicielem często cytowanym po pierwszej wojnie światowej. Nazajutrz po podpisaniu Traktatu Wersalskiego dowodził upadku cywilizacji zachodniej i wiedział dokładnie, dlaczego upadł musi. Sprawa była prostsza. Ujął ją Andrzej Maurois w aforyzmie o tym mniej więcej brzmieniu: — Łatwiej Niemcom mówić o upadku cywilizacji zachodniej, aniżeli się przyznać po prostu, że nie udało im się przejść w zwycięskiej defiladzie pod Łukiem Tryumfalnym w Paryżu. — W drugiej wojnie światowej Niemcy przeszli w takiej defiladzie. I tak przegrali. Ale — nie wszystko się powta-

ARNOLD ŚLŪCKI

## POŻEGNANIE

Wracam.  
Zaledwie kilka słów w zanadrzu.  
Serca skały nie dotknąłem.  
Brył nieodgadniony ból  
Zanim zdrzży —  
Muśnięcie śniegu o policzek  
Pieczę mnie jak sól...  
Wyciągam bezradnie ramiona,  
W których się nie mieści horyzont.

\* \* \*

A srebro to ciepło ma snu...

Platon

Choć srebro to ciepło ma snu,  
Chcę je obudzić do życia.  
Jeśli z głazów tych nic nie wyrzeźbię —  
Niechaj wrzeźbią się we mnie...  
Nie dla spokoju słowem jak dłułem  
Uderzam w siebie.  
Chcę, aby wiersz mój dojrzał  
Owoce ciężkim z kamienia,  
By mię rozsądził krawędzią  
I odkrył tobie.

rza. Rolę kasandrycznych wieszczek objęli ich zwycięzcy (od zachodniej strony). Maurois miał rację: skoro ulicami miast niemieckich poczęły masowo przeciągać SA-Fackelzüge, Spengler przestał się obawiać upadku naszej cywilizacji. Duch pruski ją ocali, zapowiedział.

Termin kultura faustyczna, faustyczny rozpęd naszej cywilizacji, to jego ulubione słowo. Technika faustyczna, wola mocy nad naturą — znamy, dobrze znamy. Wiemy co to znaczy, przełożone na język faustycznej polityki. Dzisiaj dopiero widzimy, jak niewiele ogniw brakowało, ażeby ten przekład dokonał się w zupełny sposób. Świat unikał końca świata, kiedy uczone niemiecki, przyszły laureat Nobla, uciekał w ciągu wojny za granicę, by nie przykładać dalej ręki do faustycznego dzieła. Unikał go, kiedy garść dzielnych niszczyła w Norwegii zapasy ciężkiej wody gromadzone przez Niemców. Unikał, kiedy czolgi sowieckie najechały na Korel japońskie wytwórnie atomowe. Dlatego, kiedy wam mówią, że najgorsze jest jeszcze przed nami, pamiętajcie w każdej chwili zwątpienia, że najgorsze jest właśnie za nami. Pamiętajcie, że Goebbels nie kłamał ani na chwilę, kiedy wciąż dawał do zrozumienia, że Niemcy trzymają w zanadrzu nowe bronie.

Szatan, choć sobie mądrość i siłę przyznaje, wie, że kłamie i wiary sam sobie nie daje; Dlatego rad wśród ludzi swoje kłamstwa szerzyć, By je słysząc z ust cudzych, mógł im sam uwierzyć.

Tak napisał Mickiewicz. W tym jedynym wypadku szatan nie szerzył kłamstwa po to, by sam w nie dopiero miał uwierzyć. Dlatego koniec świata jest za nami i staruszkowie mogą spokojnie podwiązywać pomidory w „Piosence o końcu świata” Miłosza.

Zostaliśmy uratowani na mocy prostego prawa fizycznego: prawa naczyń połączonych. Kiedy w jedną rurkę nalejesz wody wysoko, w drugą nisko i połączysz je, nie sądz, że ta woda wysoka utrzyma się na swoim poziomie. Musi opaść. Kultura materialna i naukowa, moralna i filozoficzna tworzą całość naczyń połączonych. Nie można uprawiać techniki współmiernej do rozwoju i postępu ludzkości, a innym naczyniem komunikować się z barbarzyństwem. Nie można światopoglądem swoim tkwić poniżej myślenia mieszkańców wysp Trobriandzkich. Bo ich pogląd na rzeczywistość jest dopasowany do ich doświadczeń. Nie można dzielić fizyki na aryjską i semicką, germańską i niegermańską. Nie można wyzywać się mózgow w imię totemicznych przesądów, by błąd tutaj popełniony nie odcisnął się w miejscu nieoczekiwanym. Wypędzony fizyk żydowski zaważył więcej na władzy Hitlera nad światem niż niezmobilizowane w porę dywizje.

Zdarzało się niekiedy, że uczeni niemieccy w okresie hitlerizmu nie mogli się obejść bez zacytowania uczonych pochodzenia żydowskiego. Wtedy byli obowiązani przy zacytowanym nazwisku postawić gwiazdkę, by ostrzec czytelnika, że to nieczyste. Oto nowe użycie słów z gwiazdką. \*Einstein, \*Bergson, \*Freud, \*Hirschfeld. W odnowionym języku pragermańskim.

Ostatnia godzina nocy. Cisza jest głęboka. W zamkniętą przestrzeń pokoju przenika hejnał przed świtem. Miasto urosło. Niedaleko domu, gdzie mieszkam, jest ulica, z której narodziła się Wypiańska malował serię pasteli z kopcem Kościuszki. W starym roczniku czasopisma, Feliks Jasieński, Manggha (kto jego dzieło czyta dzisiaj w Polsce? — kopalnia wiedzy, pomysłów, zachwyty) opisuje wizytę u Wyspiańskiego. „Mrok spada Nad Krakowem, tonącym w błocie, ciężki ponure, ołowiane niebo. Idę do Wyspiańskiego, uwięzionego dzięki okolicznościom i chorobie we wstrętnej kamienicy (ostatnia na prawo, narożna, przy torze kolejowym), przy wstrętnej ulicy — Krowoderskiej, na drugim piętrze. Artystę zastaje, jak zwykle, śledzącego przy stole umieszczonym na środku pokoju narożnego, o trzech oknach z widokiem na tor kolejowy i kopiec Kościuszki... Pożegnałem go. Noc, deszcz, wicher. Płomyki latarń

chwieją się, przygasają. Błoto chlupece pod nogami ocierających się o ściany domów przechodniów, przytrzymujących trwożliwie, objęta rękami, szarpane przez wściekłe podmuchy wiatru parasole”. Tak wglądała wczorajsza noc. Ojciec młodego Józefa Korzeniowskiego, Apollo, i ojciec młodego Stanisława Wyspiańskiego, Franciszek, byli sąsiadami. Przy ulicy Poselskiej. O czym rozmawiali?

Od miesiący otrzymujemy prasę zagraniczną i ze zdumieniem widzimy, ile miejsca zajmują tam roztrząsania na temat energii atomowej, wizje, przepowiednie, lęki, wołania o ratunek. Jak pojąć ten lęk u narodów, których dyplomacja rości sobie równocześnie pretensje do wyłączności w używaniu energii atomowej jako środka dyplomatycznego? Jak pojąć lęk człowieka, który wynalazłszy nóż drży ze strachu, by się nie zaciął? Daleko do upadku cywilizacji ludzkiej, a tyłu Faustów

zasiadło na ruinach i płacze głosami jerozolimskich placzek. Nie wiedzą, że nawet ze zburzonej Warszawy można przywieźć czarno oprawny egzemplarz i mieć przewodnika dla nocnej myśli. Logika myśli nocnych. Nie zdarza się w ciągu dnia rozmawiać wiele o bombie atomowej. Snuć eschatologiczne pomysły. Nasi poeci czynili to przed wojną. My sami zbyt blisko byliśmy otchłani, by jeszcze powoływać ją do życia w naszej wyobraźni. Katastrofistami są pijacy, katastrofistami są szabrownicy. Nie wiedzą, czy świat potrwia jeszcze dwa tygodnie i zarabiają póki czas. Ale Freud ma słusność. Sprawy niewyżyte na jawie powracają w snach. Powracają nawet w snach myśli, by ulec oczyszczeniu. Oto noc dobiega świtu. Nad bliskimi dachami niebo staje się rozcińczone, konary topól czarniejsze.

Wschody i zachody słońca nie układają się w poezji równomiernie. Do początków romantyzmu wscho-

dów słońca było wiele. U końca XIX wieku górują już zachody. Rzadko napotkasz poetę, który własnymi oczyma oglądał Jutrzenkę Różanopalcą. Blednie nieboskłon, wynikają zarysy obłoków. Świt czeka nocą chmurny.

Wschody i zachody słońca w poezji nie zależą od technik poetyckich, ani też od świadomych upodobań. Dla ludzi naszej doby świt jest końcem nocy, nie jest początkiem dnia. Nastaje po zmęczeniu i nie pozwala się dostrzec jako zapowiedź. Świt człowieka miejskiego. Wschody słońca dostrzegali ludzie, dla których naprawdę były one początkiem dnia. Za czasów Mickiewicza wykłady rozpoczynały się latem o szóstej rano. Tacy poeci widzą wschody słońca.

Posłuchajcie uważnie urywka przedziwnego liryku Słowackiego. „Kiedy pierwsze kury Panu śpiewają...” Nie ma ich w mieście. Sąsiad Kanta posiadał koguta, który swoim

pianiem budził starego filozofa. Kant chciał koguta odkupić, sąsiad się nie zgodził. Kant rzekł na to: „Pan ma uszy zwyczajne, ja mam słuch metafizyczny”.

Pan mię wtenczas na rannym świtanu  
Za bladymi gdzieś słuca niebiosy,  
Serce się moje roztopia w śpiewaniu,  
Sny ostatnie — przechodzą przez włosy.

Zatem poeta spał i budzi się. Chociaż? A może snami nazywa myśli myślane nocą?

Świt, koniec nocy. Egzemplarz „Fausta” otwieram na stronie, jaka się sama rozłoży. Oto śpiewają Parki:

Könnst' ich einmal nicht vergessen,  
Wäres um die Welt mir bang,  
Stunde zählen, Jahre messen,  
Und der Weber nimmt den Strang.

Uprowadź noc, Lachesis. Niech siostry twoje przęda dni. W topole wniknął promień — już jesień.

Kazimierz Wyka

## Jak powstaje Polski Słownik Biograficzny

Rozmowa z sekretarzem redakcji Kazimierzem Lepszym

Ukazanie się nowego zeszytu Polskiego Słownika Biograficznego, po siedmiu latach przerwy, powitano ogólnie z wielkim zadowoleniem. Już bowiem przed wojną przekonano się powszechnie, że oddaje ono ogromne usługi nie tylko uczonym, ale wszystkim ludziom, szukającym w nim rzetelnych, zwiezłych informacji o osobach, które odegrały ważniejszą rolę w naszym życiu politycznym, społecznym i kulturalnym.

Nowy zeszut, 25 z kolei, zamykający piątą tom wydawnictwa, przynosi około 15 życiorysów, od Jana Drohojowskiego po Piotra Stanisława Dunia. Literaci przeczytają z zajęciem sylwetkę poetki Drużbackiej, pióra Wacława Borowego, politycy zaczął lekturę od życiorysów Edwarda Dubanowicza, Stanisława Dubois, Dulebów czy Juliana Dunajewskiego, historycy rozpoczną od Andrzeja Duditha czy od Mariana Karola Dubieckiego, a potem, jak to czyni większość prenumeratorów Słownika, przestudiują całość zeszytu od deski do deski, bo wiele cennych rzeczy można się dowiedzieć o arcybiskupie Macieju Drzewieckim z XVI w., czy o kardynale Albincie Dunajewskim z XIX, o prezydentach miast Jarogniewie Drzewskim czy Piotrze Drzewieckim, o rozmaitych purpuratach i senatorach w dawnych i nowszych czasach, a równocześnie, co trzeba ku chwale redakcji podkreślić, nie są pomijani i ludzie prości, którzy chwalebnie zapisali się w naszych dziejach jak np. Ignacy Drygas, chłop — powstaniec z 1863 r. i Michał Drzymała, chłop poznański, słynny twórca „polskiej wsi na kółkach”. Ambicją redakcji jest właśnie wyszukiwanie postaci dotychczas pomijanych, ludzi przemierzających, co stało się zasadą już od 1930 r., tj. od chwili rozpoczęcia prac redakcyjnych Komitetu, na którego czele stoi prof. Władysław Konopczyński, jako redaktor główny. Sekretarzem redakcji jest również od początku docent Uniwersytetu Jagiellońskiego dr Kazimierz Lepszy, historyk czasów nowożytnych, autor cennych prac „Rzeczpospolita w dobie sejmów inkwizycyjnych”, „Walki stronnictw w pierwszych latach panowania Zygmunta III” i „Dziejów floty polskiej”.

Zwróciłem się do dr. Lepszego z prośbą o kilka informacji o dziejach i planach Polskiego Słownika Biograficznego.

— Jaka była geneza Słownika?

— Myśl wydania Polskiego Słownika Biograficznego powstała w latach 1924/25. Podnieśli ją niezależnie od siebie profesorowie Władysław Konopczyński i Stanisław Kot. Równocześnie profesor Stanisław Zakrzewski we Lwowie nawoływał do zredagowania słownika zasłużonych bojowników walk o niepodległość w XIX w. Te inicjatywy zbiegły się. Polska Akademia Umiejętności postanowiła myśl zrealizować i powołała Komitet Organizacyjny.

— Jakie były główne zasady Słownika?

— Postanowiono objąć, wzorem słowników obcych, wszystkie wielkie i wszystkie dziedziny życia polskiego. Zabiegano o to, aby możliwie równomiernie uwzględnić politykę, oświatę, życie gospodarcze i sztukę. Słownik nie ma być Plutarchem. Obowiązuje nas rzetelność informacji, wystrzeganie się tendencji politycznej czy moralizatorskiej. Nie pomijamy postaci ujemnych, nie ukrywamy błędów w życiu szanowanych ogólnie bohaterów.

— Co decyduje o wejściu do Słownika?

— Ważność postaci. Dajemy życiorysy tylko osobom niezwykłym, bez żadnych ograniczeń co do czasu. Uwzględniamy osoby czynne w polskim życiu państwowym i narodowym w każdorazowych państwach polskiego granicach. Nie pomijamy jednak osób, których działalność rozciągała się na ziemiach utraconych i na obczyźnie. W Słowniku są też życiorysy tych Polaków, którzy byli czynni w środowiskach obcych, o ile sami nie ulegli całkowicie wynarodowieniu.

— A z obcych kogo uwzględniać?

— Tylko tych, którzy uczestniczyli w sprawach narodu i państwa polskiego i tylko w granicach ich rzeczywistego uczestnictwa.

— Ile życiorysów obejmie Słownik?

— Przewidujemy 20 000 nazwisk, po 1000 nazwisk w jednym tomie. Ten plan nie jest jednak w pełni realizowany. Poszczególne tomy przyniosły dotychczas zaledwie po 900 nazwisk. Będziemy więc musieli zwiększyć ilość nazwisk w tomie, albo ilość tomów. Dopelnienia przyniosą przede wszystkim nazwiska osób opuszczonych lub tymczasem zmarłych.

— Ile nazwisk obejmuje kartoteka redakcyjna?

— W ciągu lat pięciu, od 1930 do 1934, zgromadziliśmy w kartotece 100 000 nazwisk. Był to wynik pracy przeszło 100 współpracowników-specjalistów. Kartoteka stale jest uzupełniana. Z tej kartoteki Komitet Redakcyjny wybiera dopiero nazwiska najważniejsze, ustalając je przy pomocy ankiet, w których zapytujemy naszych stałych współpracowników: które z uwzględnionych nazwisk jest niepotrzebne, kogo opuszczono, kto nadaje się najlepiej do opracowania danego artykułu, jaki należy wyznaczyć wymiar dla życiorysu?

— Ilu ma Słownik współpracowników?

— Dotychczas mieliśmy ich 750. Wojna wielu nam zabrała. W wykazie redakcji i współpracowników piątego tomu znak śmierci powtarza się 70 razy. Trzeba teraz uzupełnić listę.

— Jakie jeszcze szkody przyniosła wojna Słownikowi?

— P. S. B. ocalał w całości dzięki niezwykłemu oddaniu i poświęceniu urzędnika Akademii Umiejętności, Stanisława Buratynskiego. Wyniósł on sam już w 1940 r. całą kartotekę i wszystkie materiały Słownika z Akademii, a było tego 10 dużych pak, część ukrył u siebie pod węglem, część zaniósł do Muzeum Czartoryskich. Straciliśmy tylko teczkę z recenzjami zagranicznymi Słownika, po którą zgłosiło się gestapo zaraz po wkroczeniu do Krakowa. Wojna wyrządziła pośrednio Słownikowi niepowetowane jednak szkody przez zniszczenie źródeł informacji, zdevastowanie i spalenie tak licznych bibliotek i archiwów, przez utrudnienie kwerend zagranicznych. Jesteśmy obecnie w trakcie formowania nowej Rady Słownika, a przede wszystkim lokalnych komitetów doradczych, z których Słowistwa warszawskie, poznańskie i krakowskie już działają, a katowickie jest w stadium organizacji.

— Jakże są zadania takich komórek redakcyjnych?

— Bodaj że najważniejszym obecnie zadaniem jest uzupełnienie kartoteki nazwiskami osób zmarłych w latach 1929—1943. Liczymy też na życiową pomoc wszystkich naszych czytelników. Po ostatecznym skompletowaniu kartoteki na litery E i F, przystąpimy do zamawiania artykułów na te litery. Doświadczenia wojenne nauczyły nas, że nie wolno jednak zajmować się najbliższymi tylko tomami Słownika. Dzięki specjalnemu funduszowi zamawiamy teraz życiorysy zawczasu na dalsze litery.

— Kiedy redakcja przewiduje ukończenie wydawnictwa?

— Pierwszy tom ukazał się w 1933 r. Ostatni wydanie zapewne za piętnaście lat, a więc gdzieś około 1960 roku, w jubileuszowym roku, 25 lat od rozpoczęcia wydawania Słownika. Zresztą tempo wydawania Słow-

nika w pewnej mierze zależy od redakcji. Zadecydują o nim sami czytelnicy.

— Ilu miał ich Słownik przed wojną, ilu ma teraz?

— Doszliśmy przed wojną do 1400 prenumeratorów. Obecnie mamy już 540. Napływają jednak szybko dalsze zgłoszenia. Życzliwa opieka Ministerstwa Oświaty, żywe zainteresowanie innych ministerstw, zwłaszcza Spraw Zagranicznych, zgłaszanie się na prenumeratorów wielu stowarzyszeń społecznych, placówek TUR-u i Samopomocy Chłopskiej, pozwala ufać, że niebawem osiągniemy przedwojenną liczbę odbiorców, a wtedy będziemy mogli znów drukować nie 3 lecz 5 zeszytów rocznie, staniami się samowystarczalnii i szczęśliwie skończymy dzieło tak ważne dla kultury polskiej. Wszystkie kulturalne narody mają swoje słowniki biograficzne i to nie tylko narody tak potężne jak Anglia czy ZSRR, ale nawet mniejsze np. Jugosławia. Ambicją redaktora głównego prof. Konopczyńskiego i nas wszystkich współpracowników jest, aby to dzieło, choć późno zaczęte, dorównało najlepszym wzorom zagranicznym. Redakcja jest przekonana, że społeczeństwo nie odmówi nam swej współpracy w nadsyłaniu materiałów, uzupełnień, wskazówek i poprzez nasze usiłowania przez dalsze zgłaszanie prenumeratów.

Stefan Papée

### ROBOTNICZY PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Ukazał się numer 5 o następującej treści:

Wobec XI sesji K. R. N.

K. Pusinek  
O kwestii mieszkaniowej w Polsce

W. Sokarski  
Nasze stanowisko wobec Planu Odbudowy Gospodarczej

J. Kofman  
Wyniki osiągnięte

A. Krygler  
Nowe podstawy polityki społecznej

Z. Gross  
Społeczna kontrola produkcji

S. Kwiatkowski  
Dziesięciolecie deklaracji ruchu pracowniczego

M. Marek  
Uwagi o ustroju ruchu zawodowego

D. Ratuszński  
Strajk górników przed 46 laty

Na froncie odbudowy  
Polska na morzu

Nowe książki:  
Rzecz o samorządzie integralnym  
Książka dokument

Ruch Związkowy w Polsce  
Praca kulturalno-oświatowa w związku z zawodowych

Polityka społeczna  
Wczasy pracownicze w I półroczu

Przebieg gospodarczy  
Nowe wydawnictwa

Fakty i d-kumenty  
Narodowy Plan Gospodarczy Odbudowy Polski

Wskaźniki statystyczne  
Cena zł 15.—

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:  
WARSZAWA, AL. PRZYJACIÓŁ 9

277

KAZIMIERZ BRANDYS

### MIASTO NIEPOKONANE

OPOWIEŚĆ O WARSZAWIE GROZY I NADZIEI

„Niechaj mnie nałchnie to miasto dokładną pamięcią... aby żadne kłamstwo nie wyszło mi spod pióra i nie umniejszyło wiekości jego prawdy”  
(z przedmowy autora)

„KSIĄŻKA”

STANISŁAW HELSZTYŃSKI

# Powieść Ernesta Hemingwaya

Oblicze literatury amerykańskiej wygląda dziś, po ukończeniu drugiej wojny światowej, dużo inaczej niż lat temu siedem czy dziesięć. Zmarli lub zamilkli dawni koryfeusze, zamiast nich pojawili się nowi ludzie, nowe talenty, nowe hasła. Zmarł Theodore Dreiser, a przed nim, jeszcze w roku 1938, Wolfe Thomas, duch niespokojny, próbujący realizować nastroje Walta Whitmana, autor powieści „Lock Homeward, Angel”, której przekładu nie doczekaliśmy się przed wojną. Przeszedł się w dużej mierze Upton Sinclair, od lat 50 nawołujący do zmiany stosunków społecznych i ekonomicznych kraju.

Do głosu doszli ludzie tacy jak John Steinbeck, Erskine Caldwell, William Faulkner. Rzecz charakterystyczna, wszyscy oni pochodzą przeważnie ze Stanów Południowych i stamtąd nieodmiennie czerpią wątki swoich utworów, w przeciwieństwie do większości pisarzy pierwszych czterech dziesięcioleci XX wieku, rekrutujących się ze środkowego Zachodu. Steinbeck, choć Kalifornijczyk, przez temat swoich „Grapes of wrath” (1939), nazywanych nowoczesną „Chatą wuja Toma”, tkwi w dzierzawach plantatorów Południa. Również w Georgii dzieją się sprawy opisywane przez Caldwell w „Tobacco road” oraz w „God's little acre”. Opowiadania Faulknera są także ściśle związane z zagadnieniami nieszczęśliwej Federacji, która walczyła z lincolnowską Unią. Zdaje się, że Południe, zyskujące znaczenie już w pierwszej wojnie przez intensywny udział w gospodarce wojennej, podczas drugiej wojny weszło na drogę nowej pomysłowości, a zmiana ta znajduje wyraz w rozkwicie piśmiennictwa tego niegdyś najbogatszego rejonu.

Uwagi te nie dotyczą twórczości Ernesta Hemingwaya, który nie przestając być Amerykaninem, czerpie tworzywo literackie przeważnie ze swoich przeżyć spoza rodzinnego kontynentu, z Europy, Azji i Afryki. Z Południowymi Stanami związany jest o tyle, że rezydencją, do której co pewien czas wraca, jest Key-West na Florydzie. Reminiscenty tego środowiska znajdujemy w powieści „To have and have not”, która ukazała się w polskim przekładzie przed wojną pod zmienionym tytułem „Statek śmierci”.

Tytuł dostosowano u nas do treści, gdyż akcja powieści obraca się dookoła postaci Harry'ego, właściciela statku Harry staje się zgubą dla współników i pasażerów, a w końcowej rozprawie, dla rewolucjonistów z Kuby, których pragnie obrażać z ich łupów zdobytych w napaści bankowym na Florydzie. Bez względu na niedostępny dla refleksji i wyrzutów sumienia bandyta ma w sobie coś z monolitu. Ginie z pełną świadomością swojej brutalnej, troglodyckiej natury, uznającej egoizm za wyłączną treść swego straszliwego życia, składającego się z jednej nieprzerwanej serii zbrodni.

Rok 1931 przyniósł nam tłumaczenie najlepszej podówczas hemingwayowskiej powieści: „Pożegnanie z bronią”. Przypominam sobie wrażenie, jakie ta książka u nas zrobiła. Piękna, tragicznie się kończąca historia wojenna, rozgrywa się na ale całej prawie kampanii włosko-austriackiej z okresu pierwszej wojny światowej. Amerykański doktor medycyny pełni ochotniczo funkcje lekarza w ambulansach od 1916 r.; stacjonuje w Gorycji od chwili zdobycia tego miasta w 1916 r.; na wiosnę 1917 r., po urlopie, zostaje ranny w walkach nad Sočą, aby na jesieni tego roku przeżyć niesławny odwrót Włochów spod Caporetto aż pod Tagliamento i rozstać się z nimi bez żalu, przekraczając granicę szwajcarską jako dezertor (razem z ukochaną, była siostrą angielskiego Czerwonego Krzyża w Mediolanie).

Hemingway nie sili się na ujęcie całości czy dokładny obraz odcinka, wstrzymuje się od uogólnień, frazesów, teoretyzowania. Fryderyk Henry, przydzielony do grupy lekarzy, opowiada w prostych, ale jedynie żołnierskich słowach koleje swego

udziału w pracy na froncie, kuracje i miłość. Nie rozdziera szat po przegranej ofensywie Plezzo-Tolmino. Spokojny ton, zaobserwowane szczegóły, działają jak najprecyzyjniejsze pociski. Nie ma tu niezwykłych sytuacji, sama kłęska zgoła niedramatyczna. Jedyną dzięki odważnemu przepłynięciu wzburzonej rzeki rozbił się samemu sadu polowego na moście Tagliamento. Z satysfakcją, jaką odczuwa w Montreux i Lozanie, z przytoczonych rozmów szeregowców włoskich, z mało pochwalnych wzmianek o obozach łatwo wyczuć, co Hemingway myślał o rzezi z 1914—1918 roku, jeśli choć częściowo utożsamia się bohatera z autorem.

Hemingway należy do pisarzy, którzy, jak to widać z „Pożegnania z bronią”, czerpią obficie z doznań wchłanianych z otoczenia i z przycięcia własnego życia. Urodzony w Oak Park, w stanie Illinois w pobliżu Chicago, w 1898 r., syn lekarza i zwanego sportowca, zebrał przeżycia młodości w powieści „In our time”. Młodość jego była pełna ruchu i nagłych decyzji. W drugim roku życia dał mu ojciec do ręki pret z wędką do łowienia ryb. W dziesiątym dostał chłopak strzelbę i zachęte do wyczynów myśliwskich. W piętnastym młody Robinson zbuntował się i uciekł z domu, bo ojciec namawiał go, by wstąpił w jego ślady i studiował medycynę, a matka, kobieta muzykalna, ciągnęła go do muzyki. Z trudem udało się im zrehabilitować buntownika i dopilnować, by skończył Grammar School w Oak Park. Gdy w 1917 r. przeniósł się do Kansas City, do redakcji dziennika „The Star”, zaczęła się wielka przygoda: wyjazd do Włoch, szoferowanie w kolumnie sanitarnej, przejście do piechoty i łapczywe chwytywanie obserwacji z frontu. Hemingway nie brał udziału w fatalnym odwrócie Włochów spod Caporetto, jednak nastroj tej kłęski generała Cadorna doskonale w „Pożegnaniu z bronią” uchwycił. Ze linii ognia nie uniknął, świadczy fakt porządnego pokierszowania szrapnelem i platynową płytką w kolanie, uwieczniająca jego pobyt na froncie włoskim.

Europa tak weszła Hemingwayowi w krew, że już w 1921 do niej powrócił, obierając za punkt wyjścia Paryż. W tym czasie powstały jego poezje dotyczące Montparnassu, wtedy wchodzi w świat cyganerii artystycznej i nawiązuje kontakt z poetą Ezra Pound (dziś mającym opinię kolaborantisty) oraz z Gertrudą Stein, teoretyczką ruchu postępowego ekspatriowanych poetów amerykańskich na gruncie paryskim, matką rewolucyjnego odłamu twórców amerykańskich, piszących przede wszystkim o Europie. Przekorny i lubiący chodzić własnymi drogami, Hemingway szybko się z nimi poróżnił. Ten egzotyczny światek odmalował w pierwszej powieści zatytułowanej „The sun also rises” z roku 1926, która zwróciła na niego uwagę; była ona prekursorką arcydzieła „A farewell to arms” z roku 1929.

Z pobytu w Paryżu datują się wycieczki Hemingwaya do Hiszpanii, którą jak twierdzą, poznał dokładniej niż Amerykę. Pierwszym owocem tych iberyjskich wycieczek jest „The death in the afternoon”, opisująca walkę byków. Autor, wierny swym założeniom psychologicznym, w obrazie walki matadora ze zwierzęciem widzi zmaganie się człowieka ze śmiercią.

Kiedy w roku 1936 wybuchła w Hiszpanii wojna domowa, Hemingway przeżywa osobiście tę krwawą epopeję jako korespondent wojenny. Posłużyła mu ona za wątek do powieści „For whom the bell tolls”, wydanej w 1940 r., a stanowiącej jego szczytowe osiągnięcie powieściopisarskie. Było to bez wątpienia najambitniejsze zamierzenie Hemingwaya. Przyjrzywszy się wypadkom na miejscu, wzbogaciwszy się o ogromną masę spostrzeżeń, zasiadł do pracy, która przez siedemnaście bitych miesięcy zajmowała mu po kilka godzin dziennie. Punktem wyjścia powieści była zasada, wygłoszona na końcu w „The death in the

afternoon”: najważniejszą rzeczą jest żyć i pracować, patrzeć, słuchać, uczyć się i rozumieć. I pisać wtedy, gdy się o czymś dowiesz, nigdy przedtem ani zbyt dugo potem. Niechaj ci, którzy chcą, zbawiają świat, ty zaś staraj się dojrzeć wyraźny i pełny jego obraz.

Zastanawia sam wstęp powieści zaczerpnięty ze słów Johna Donne'a, poety angielskiego, twórcy szkoły metafizycznej z XVII wieku w Anglii: „Zaden człowiek nie jest wyspą, która stanowi całość dla samej siebie. Jest częścią kontynentu, częścią głównego ładu. Jeśli fale morza zmyją jedną bryłę, to Europa jest umniejszona, jakby zmyło przyładek lub posiadłość twoją albo twego przyjaciela. Śmierć każdego człowieka pomniejsza mnie, bo jestem członkiem ludzkości. Toteż nfe pytaj, kiedy dzwon dzwoni, komu dzwoni



Ernest Hemingway

pieśń żałobną: dzwoni ją tobie. „Nevc send to known for whos the bell tolls, it tolls for thee”.

Losy Roberta Jordana, młodego Amerykanina ze stanu Montana, ongiś wykładowcy języka hiszpańskiego na uniwersytecie, znawcy filologii i kultury hiszpańskiej, w wojnie rewolucyjnej partyzanta po stronie republikanów, zostały przedstawione w powieści tak przejmująco, że czytelnik przeżywa jego przeżycia jak własne i jego śmierć w obronie uciemiężonych powstańców iberyjskich uważa za cios zadany mu osobiście. Z niesłychaną plastyką odzwierciedla autor cztery ostatnie dni bohatera, który otrzymał polecenie wysadzenia w powietrze mostu, dąży konsekwentnie do celu. Autor nie porusza strony politycznej, ani razu nie padają nazwiska głównych przywódców walki, nie ma tu panoramy bojów na różnych odcinkach. Interesuje go jeden tylko fragment: góry Guadarrama na północno-zachód od Madrytu i most na rzece, mający wylecieć w powietrze z chwilą rozpoczęcia przez sowieckiego generała Golza ofensywy w kierunku Segowii.

Olbrzymia ilość wydarzeń, skupionych na przestrzeni czterech dni, rozsada po prostu ramy opowiadania. Na bogactwo materiału składają się trzy elementy. Drobiazgowo opisany krajobraz kastyljskiego, widzianego oczami byłego turysty po Iberii i uważnego poety. Charakterystyka grupy powstańców, dziesięciu-piętnastu osób, przeprowadzona z mistrzowską znajomością duszy i temperamentu ludu w kraju, podmiowanym duchem oporu.

Trzeci wprowadzający napięcie czynnik — to mistrzowska sylwetka głównego bohatera, Jordana. Pomijając zjawiska czysto polityczne pamiętnej wojny, Hemingway zdradza niedwuznacznie podziw dla ludzi żołnierskiego rzemiosła, wykazujących dużo odwagi, przedsiębiorczości i męskiej postawy w niebezpieczeństwie. Sympatia jego jest po stronie ludzi walczących z tyranią. Robert Jordan jest doskonałym reprezentantem żołnierza, dynamitarda, stronnika czerwonej Hiszpanii. Wielkim przeżyciem jego ostatnich dni jest miłość, potraktowana z głębokim liryzmem i niecodzienną śmiałością opisów.

Nic można się oprzeć urokowi tej niezwyklej postaci. Trudno powiezieć, co nas najwięcej w niej zachwyca: czy szczerść radykalnych przekonań, czy brak poży przy praw-

dziwej nieustraszoneści i odwadze, czy wreszcie cierpliwość w dążeniu do celu i subtelność uczucia wobec zmaltretowanej przez faszystów dziewczyny.

Głębokie warstwy przeżyć, nagromadzone w świadomości Jordana, pozwalają autorowi wywoływać obrazy jego młodości, wspomnienia związane z tradycjami rodzinnymi z okresu wojny secesyjnej z 1860 r.; marzenia dotyczące przyszłego ukształtowania swych losów — po zwycięstwie czerwonych — razem z Marią. Przeraził wreszcie wrzyna się w pamięć epizod końcowy, kiedy Jordan — po wysadzeniu w powietrze mostu, cofając się z partyzantami i osłaniając ich — zostaje ciężko ranny, i — nie mogąc wycofać się z kombatantami — czeka z karabinem maszynowym sam jeden na atak oddziałów faszystowskich, by drogo okupić swe życie.

Być może, taka postawa nie jest dziś rzeczą nadto Leonidasową. Po walkach naszych, szczególnie w powstaniu warszawskim, nie trudno u nas znaleźć równie zaciętych, nieustraszonych i nieustępliwych bojowników, nieraz jakże młodziutkich. Robert Jordan Hemingwaya jest postacią ludzką, naprawdę głęboko bohaterską i bliską uczestnikom obecnej wojny. Opisy nocy, spędzonych z Marią, przypominają Jamesa Joyce'a.

Pisząc w latach 1936—1939 o Hiszpanii, prasa przynosiła straszliwe obrazy okrucieństw popełnianych przez obie strony na przeciwnikach. Powieść Hemingwaya tych scen daje niewiele, ale są one tak przerażające, że mogą służyć za nie tyle jaką zapowiedź metod biologicznego niszczenia ludzi podczas drugiej wojny światowej. Opis egzekucji, dokonanej przez zwycięską ludność Avili nad kilkunastu notablami miasta, świadczy o pasji republikanów. Wtórą im faszysti równie sadyście, szafując co prawda częścią kuli. W dosadności dorównał Hemingway chyba samemu Goyi. Pobyt Hemingwaya w Hiszpanii dostarczył mu materiału nie tylko do tej jedynej powieści. Zaraz w pierwszych dniach po wybuchu walk zmontował pisarz scenariusz do filmu pt. „Pięta kolumna”.

Kto wie, czy drugi rok pobytu Hemingwaya w Hiszpanii nie odegrał większej roli przez to, że dał mu sposobność poznania wybitnej dziennikarki, Marty Gellhorn, markizy de Jouvenel, która w 1940 r. miała zostać jego trzecią z kolei żoną. Ona to jest bohaterką jego „Piętej kolumny”. Jej poświęcił powieść „For whom the bell tolls”. Z nią w roku 1941 wybrał się do Birmy i Chin. Była ona poprzednio, jako korespondentka pisma „Collier's Weekly”, w Czechosłowacji w okresie ugody monachijskiej i napisała na ten temat powieść-reportaż.

Hemingway podróżował uprzednio po Bliskim Wschodzie, później w Afryce, polując na terenach Keni i na zboczach Kilimandżaro. Polowanie nigdy go nie przestało interesować, jeszcze bardziej wojna. Nie będzie też niespodzianką dla nikogo, że wiosną 1944, kiedy zbliżała się pora inwazji na ląd Europy, Hemingway z żoną, Martą Gellhorn, znalazł się w Anglii, by móc obserwować tę akcję. Wolno przypuszczać, że te historyczne działania znajdują odzwierciedlenie w trzeciej, wojennej, klasycznej powieści autora „Pożegnanie z bronią” i „Komu dzwoni dzwon”.

Ważną rolę odgrywają w twórczości pisarza jego nowele, których w latach 1922—1930 ogłosił kilkadziesiąt w pięciu bogatych zbiorach. Krytycy podkreślają ich fascynującą, pełną napięcia treść i doskonałą formę. Szczególnie dialog jest w nich doprowadzony do mistrzostwa.

Język poety jest prosty, potoczny, pozbawiony zbędnych ozdób, dostosowany do poziomu umysłowego osób przemawiających, do życia żołnierskiego, do tempa bitew i środowisk, z których czerpie swe postacie. Oto jak autor mówi o swoim sposobie twórczości: „Gdy piszę powieść, zawsze zaczynam od przeczytania tego, co poprzednio napisałem. W ten sposób przełamuję trudności, a potem układam słowa, jak się układają cegły. Piśmę odręcznie i nigdy się nie spieszę”.

W porównaniu ze starszą grupą amerykańskich pisarzy, pracujących bardzo szybko, nie szlifujących stylu na sposób dziennikarski, jest to wielki zwrot na lepsze. Wpływ pisarzy europejskich, szczególnie francuskich, nie poszedł na marne. Pomogły dyskusje z Ezra Poundem i G. Stein wytwornymi stylistami. Hemingway prześcignął Dreisera, Uptona Sinclaira i Sinclaira Lewisa.

Podobizny przedstawiają go jako barczystego mężczyznę, prawie herkulesowej postawy, opalonego brodacza, siłacza zahartowanego na wszelkie trudy, zdolnego sprostać wszystkim niewygodom wojny, sportu i podróży. Boks, podróż w samolocie, podnoszenie ciężarów są dla niego równie przyjemną rozrywką jak sport wędkarski.

Warto posłuchać, co sądzą o pisarzu krytycy amerykańscy: „Hemingway stał się za życia postacią legendarną. — Sam legendę dokoła siebie stworzył, otaczając się tajemniczością. Jest nadzwyczaj niedostępny i milczący, stara się ściśle odgraniczać swoje życie prywatne od publicznego, chociaż przyznać trzeba, wcale mu się to nie udaje. Jest nadal zapalonym wędkarzem, dumnym z tego, że jego imieniem nazwano jeden z gatunków ryb, i dostarcza niezwykłych okazów do muzeów zoologicznych. Swego czasu nazywał sam siebie katolikiem, chociaż był nim w tym samym stopniu, co później komunista, gdy podobno mu się przybrać etykietę komunisty, a jeszcze później podróżnika. Wykazuje zdumiewającą łatwość przyswajania sobie nastrojów grupy, którą się w danym momencie szczególnie żywo interesuje. Wprost nieprzewidywalny i bez umiaru ulega przesadom i zabobonom. Ma we krwi pewność siebie i wesołość. Jego ulubionymi rozrywkami są narty, wędkarstwo, polowanie i picie. Wszystko to wskazuje, rzecz prosta, na przesterce cech męskości, co charakteryzowało go przez całe życie. Zdanem Maksa Eastmana, przyjaciela, z którym później wdał się w bardzo nieprzyjemną polemikę, jego męska postawa wobec życia i odwaga są w nim czymś instynktownym i szczerym, lecz w głębi serca jest to człowiek łagodny, uczuciowy i skłonny do samozaparcia”.

Jeśli z tym obrazem porównamy postacie jego powieści, będziemy zdziwieni, jak wiele z tych cech posiada Robert Jordan, dynamitard spod Segovii czy tkwiący w cygańskich jasnowidziach, barbarzyńska na zewnątrz, a pełna dobroci w sercu Pilar, czuwająca nad jego szczęściem podczas jego ostatnich czterech dni przed śmiercią.

Niektórzy obserwatorzy, zwłaszcza tenże Eastman, były jego przyjaciel, uważają dążenie Hemingwaya do szarżowania, do malowania typów zuchwale odważnych i rzykanckich za maskę mającą ukryć jego w gruncie głęboko czujące serce. Ktoś nazwał go bohaterem, który w istocie powątpiewa o bohaterstwie, i prorokiem ludzi, którzy w nic nie wierzą.

Bez względu na to, jak można ocenić próby przedstawienia jego poglądu na świat, nie omylimy się twierdząc, że uważa on człowieka za istotę z góry skazaną na zagładę, lecz winną tej zagładzie przeciwstawił postawę niewzruszenia obojętną i stoicką. Spokój okazany w obliczu śmierci urzeka Hemingwaya i jego postacie, szczególnie męskie, u których najgłębsze nastroje i myśli wiąże autor ze śmiercią.

Wolno się spodziewać, że przygotowywany polski przekład powieści „Komu dzwoni dzwon” objawi nam w całej pełni pióro i ducha tego wybitnego pisarza, tworzącego wraz ze Steinbeckiem, Caldwellem i Faulknerem wielką czwórkę dzisiejszych powojennych pisarzy amerykańskich.

Stanisław Helsztyński

Zapronumerować

»ODRODZENIE«

można w każdym

urzędzie pocztowym

Prenumerata kwartalna 120 zł

Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

**DUCHY, OD KTÓRYCH SIĘ PŁACI**

Różne bywają marginesowe zabawy pisarzy. Zabawą moją jest to, że przy księżycu nawiedzają mnie duchy różnych poetów i podszeptują swoje utwory. Było ich wielu. Od Kochanowskiego do Miłosa. Odwiedził mnie Zimorowicz, był Trembecki, odbyłem nawet króciutką audyencję u księcia biskupa Warmińskiego.

Taki utwór podśluchany w stylu danego pisarza posiada swoją nazwę francuską, pozbawioną czysto polskiego odpowiednika. Nazywa się pastiche. Jest to brat przyrodni parodii, ale nie brat rodzony. Parodiując jakiś utwór, staramy się podpatrzeć i wyolbrzymić jego śmiešność. „Pastiszując” staramy się tak wiernie podpatrzeć styl pisarza, ażeby utwór podrobiony niczym się nie różnił od swojego pierwowzoru. Idealny pastiche winien być tak podobny, ażeby bez komentarza nie dał się odróżnić od utworu oryginalnego. Krystyna Grzybowska podrobiła kiedyś list Słowackiego — tak wiernie, że jeden z wydawców włączył ów podrobiony list do zbiorowego wydania listów poety. Autentyczne.

Duch tego wydawcy nie uciekł w zaświaty, lecz wcielił się w ciało ZAIKSu. Oto w jednym z numerów „Odrodzenia” pojawiły się podsluchane przeze mnie utwory poetów młodopolskich. W kilka dni później otrzymaliśmy następującą list:

L. dz. 8876/46 W. Lic.  
Do Redakcji „Odrodzenia”  
Kraków  
ul. Basztowa 15 m. 8

W charakterze reprezentantów spadkobierców Tadeusza Żeleńskiego oraz Jana Kasprowicza, prosimy uprzejmie WPanów o wpłaceniu na nasze konto honorarium autorskiego za druk następujących utworów w nr. 41 „Odrodzenia”:

Kasprowicz: Ballada o jodle.  
Boy: Madrygal dla pewnej norki.

O ile honoraria za powyższe utwory wypłacone zostały przez Redakcję bezpośrednio spadkobiercom wymienionych autorów, prosimy uprzejmie o łaskawe podanie nam wysokości tych honorariów.

Z poważaniem

(Pieczęć okrągła ZAIKSu, Kierownik Wydziału Licencji, Dyrektor Generalny. Podpisy nieczytelne).

Ponieważ istnieją w świecie niedowiarci, zaznaczam, że list jest do obierzenia dziennie w redakcji pomiędzy 11 a 12. Za szkiełkiem i w ramkach.

Czynność ZAIKSu bardzo mnie zaniepokoiła. Ponieważ nie znam się na nowym prawie autorskim, pobiegnę natychmiast do specjalisty od tego prawa i zapytałem, czy teraz od duchów się płaci? Prawnik, a był nim profesor Uniwersytetu, odpowiedział, że nie jest spirytystą i odesłał mnie do mistrza czarnej magii i chiromancji, Wacława Pyfello. Jest taki w Krakowie. Mistrz zainkasował z góry honorarium (a więc za duchy się płaci!), pomyślał, podłubał palcem w brodzie i oświadczył, że to nie jego resort. Odesłał mnie do biegłego sądowego od spraw literackich. Ruszyłem do biegłego, ale po drodze przypomniałem sobie, że tym biegłym jestem sam. Wobec tego wróciłem do mieszkania, w jednym fotelu usiadłem jako petent, w drugim jako biegły i w imieniu petenta-Wyki zapytałem biegłego-Wyki, czy za duchy się płaci? Niestety, biegły odrzekł, że ma o tym uprzedzić wyrobione zdanie, ale w myśl procedury sądowej musi się w tej sprawie wyłączyć, ponieważ jest w niej zainteresowany. Kiedy go zaprosiłem na wódkę, powiedział mi to zdanie, ale nie mogę go powtórzyć, ponieważ było nieprzypożyczone dla ZAIKSu, nie wyłączając kierownika wydziału licencji oraz dyrektora generalnego. Podpisy nieczytelne.

Wobec tego rozszczęście, czytelnicy, czy w sprawie L. dz. 8876/46 W. Lic. mam płacić za duchy czy też nie?

Kazimierz Wyka

P. S. Przy sposobności odpowiedź dla pani Marii. Pytała pani, jak się robi pastiche. Bardzo prosta sprawa. Potrzebna jest odpowiednia koniunkcja gwiazd i przyrząd zwany wyżymaczką tekstową. Przyrząd ten przypomina trochę maszynkę do mięsa. Ładuje się go tekstami danego poety, mogą być również stare wydania i zostawia w ciemności nastawiając na światło księżycy i gwiazd. Kiedy jest dobra koniunkcja, duch poety zstępuje po promieniu i uprawia w ruch wyżymaczkę. Wypada gotowy utwór, a sam duch siada przy mnie na tapczanie i gaworzy. Tylko rano mówią w domu: znów krzyczał przez sen.

**DRUGI RAZ BIRKENAU**

Zofia Kossak. Z otchłani. Wspomnienia z lagru. Poznań, Wł. Nagłowski, 1946; str. 259 i 5 nł.

W kwietniu 1945 r. ukończyła Zofia Kossak swoją książkę o Birkenau, ale w druku ukazała się ona z przeszło rocznym opóźnieniem. Jest to krzywdą dla tej pracy, skoro „Dymy nad Birkenau” stały się niejako oficjalną wersją prawdy o żeńskim obozie Oświęcimia. Nie różnią się one bardzo co do przedmiotu, gdyż nie mogą się różnić, skoro obydwie są prawdziwe. Różnią się raczej co do klimatu pisarskiego i poniekąd co do wniosków, które z tej ponurej lektury można wysnuć. Pisząc swą książkę, Szmaglewska nie była jeszcze literatką, jednak zdobyła się na epicki, obiektywny sposób w traktowaniu tematu, Kossak przeciwnie — będąc pisarką o ustalonej randze, zrezygnowała ze swego przywileju na korzyść subiektywnej, nerwowej prawdy przeżycia. Ale i ona zachowała swoje incognito wśród tamtejszych spraw, nie pisząc ani o sobie, ani o specjalnie wybranych osobach, tylko jak gdyby statystycznie — o wszystkim i wszystkich, co prawda w wysokiej temperaturze emocjonalnej. Dlatego te książki powinny były się ukazać w odwrotnym porządku, w miarę krzepnięcia lawy, a właściwie ostygnięcia krwi tamtej kaźni.

Po kolei opisane są bolączki życia obojowego („bolączki”, wyraz za słaby), z których każda jest wyszarżająca, by wyniszczyć do śmierci dotknięte nimi kobiety. Mimo to pewien procent skazanych żyje wbrew logice i prawdopodobieństwu. W paru miejscach książki natykamy się na zapewnienia, że biegunka, świerzb, tyfus, nieludzko ciężka i bezmyślna praca — to nie przepadłości, które kolejno, niejako luzując się, spadają na obóz, ale że działają permanentnie, jako system zła sprzysiężonego, a mimo to zdarzają się „abgangi” nie tylko do pieca krematoryjnego, ale na wolność (rzadko), częściej do innego obozu czy więzienia, wreszcie na doczekaną wolność wyzwolenia i likwidacji Birkenau. Co więcej — człowiek, istota chyba najbardziej elastyczna pod względem umiejętności przystosowywania się do narzuconych jej warunków, potrafi znaleźć modus vivendi na tym najwęższym odcinku pozostawionej mu e-

gzystencji. Potrafi się tam zadomowić i byt sobie poprawić. Stąd ta ogromna i nie do wiary dla kogoś z zewnątrz — rozpiętość w poziomach życia w obozie. Od „rózowego pokoiku”, względnie luksusu pewnych szarż funkcyjnych, do zupełnej prostracji „muzumanek”, które czekają już tylko na śmierć. Naturalnie hierarchie są wyznaczone przez zupełnie inne szczeble niż w świecie uporządkowanym według jakichkolwiek norm etyczno-prawnych. Często zło mocne witalnie toruje sobie drogę do lepszego losu, ale i dobro bywa zwycięskie, nie dlatego, że lepsze, że mędrsze, ale dlatego, że ubocznie jest jeszcze silne. A zło znowu bywa ukarane, nie za swą istotę, lecz za głuportę, albo przez przypadek. Bo, co charakterystyczne, w tym małym modelu świata rządzą nie prawa stosowane indywidualnie, ale zasady statystyczne, jak... w teorii kwantów. Przypadek, nawinięcie się pod kulę czy harap rozwścieczonego komendanta obozu przekreśla ją wszelką rachubę na przeczucie. Wówczas pada zarówno ta, która potrafiła najlepiej „organizować” (kraś) i nosi pod pasikiem najwytowniejszą bieliznę zlikwidowanych holenderskich Żydówek, jak i nędzarka, zjedzona przez „kreć”, i tak już przeznaczona na śmierć z wyćnięcia.

Z tego materiału rzeczowego autorka wyprowadza wnioski zgoła inne, niżby się można było spodziewać. Nie budują one poglądu materialistycznego, ale metafizycznego. I Zofia Kossak nie jest osobowością wyjątkową, taką, której układ psychiczny, religio-poddańczy nakazywałby reakcję niekiedy wprost bigoteryjną. (Mamy to i u Kudlińskiego w „Mantelupie”). Widocznie psychiki o pewnym wyraznie skonsolidowanym układzie początkowym jeszcze się ustalają i pogłębiają w swojej koncepcji świata, według zasady „contra spem spero”. Obraz bezprzykładnej nędzy i bezprawia nie potrafił podważyć ich systemu, który jest raczej kwestią temperamentu psychicznego, konstytucjonalnego wkładu niż powierzchniowo wyznawanej zasady. Gdyż w naskórkowych religijnych czy antyreligijnych skłonnościach, jak sama autorka zaznacza, bywają duże przewartościowania w obozowym ciśnieniu moralnym. I tak wierzący stają się ateu-

szami i na odwrót. Są to prawa, które można wykrywać i ustalać, ale trudno je pragmatycznie tłumaczyć. Nawet w pracy tak bardzo dokumentarnej nie można pominąć jej strony artystycznej, tym więcej, że nie chodzi tu o jakieś zdarzenia historycznie ważne, ale o chleb codzienny psychiki ludzkiej — a to już jest domena gatunku „belles lettres”.

Poziom, z którego autorka śledzi obozowy teatr, jest poniżej tego, który mamy prawo jej przypisać jako przyrodzony i nabyty z racji jej zawodu. Nomenklatura, reakcje psychiczne, brak dystansu do wyobraźni najniższego poziomu wieśniaczek i proletariatu zdają się o czymś świadczyć. To równanie w dół mówi o zjawisku deprecjonowania i obniżenia psychicznych nawyków, duchowego komfortu, w miarę tego jak i rzeczywisty, materialny zawodzi. To zjawisko mimikry, schowania się w masie, podporządkowania się jej systemowi myślenia. Naturalnie autorka błysnie tu i ówdzie swą wiedzą historyczną i filozoficzną, ale raczej jej unika. Nazwy niemieckie cytuje za większością błędnie, jak gdyby pochodzenia ich nie rozumiała. Świat Niemców jest dla niej masą skonsolidowaną i niezrozumiałą, tj. zrywniałą, ale tylko jako objaw zrywnienia gatunku ludzkiego. Nie ma próby analizy, choćby się nawet taka próba miała zakończyć niepowodzeniem.

W przebiegu zdarzeń, które są tak przetasowane, jak pamiętne „po sukniach” i „po służących” w „Całym życiu Saby” u Bogusławskiej, brak dramatycznego napięcia, może dlatego, że nie traktują niczyich losów specjalnie, a nawet wylizanie osób po ich prawdziwych nazwiskach przypomina raczej informację z prawdziwego listu niż dzieło sztuki. Za dużo tu zawożenia i apostrof do czytelnika, zjednywania sobie jego wiary, jak gdyby ów czytelnik miał zamiar jej odmówić. Zofia Kossak nie zdawała sobie sprawy, że te prawdy będą tak notoryczne. Mimo to poszczególnym partiom nie brak dużej sugestywności. Tylko rezultaty „hirczego” tematu nie są zorganizowane. Książka jest żywa, bezpośrednia, zamierzona bardziej jako pedagogiczne studium „szkoły Birkenau” niż jako dzieło sztuki — jest dokumentem.

Marian Promiński

**DESANT NIEBIESKI**

Roman Kiełkowski. Desant niebieski. Kraków, Stefan Kamiński, 1946; str. 137 i 1 nł.

Interesujący tytuł zbiorku debiutującego autora Romana Kiełkowskiego zdaje się obiecywać nader ciekawą treść poetycką. Zestawienie pojęcia „desant”, mającego ściśle określone wojskowo-techniczne znaczenie, tak charakterystyczne dla wielkich i pomniejszych operacji militarnych w niedawno minionej wojnie, z romantycznym, wyraźnie asocjacyjnie i uczuciowo określonym, przymiotnikiem „niebieski” — pozwalałoby przypuszczać, że poecie chodzić może będzie o jakiś artystyczny i treściowy wyraz tego kontrastowego zestawienia. Lecz po zapoznaniu się z wierszami okazuje się, że ambicje autora nie sięgają poza tytuł. Poezja Kiełkowskiego nie posiada własnych, oryginalnych sposobów kształtowania wzniesienia, nie wychodzi poza opisywanie wewnętrznych stanów psychicznych i osobistych nastrojów i to uświęconą metodą refleksyjnego patosu czy na pół asnykowskiej filozoficznej retoryki, pełną secesyjnej ornamentyki srebra i złota, splecią klamrą zbanalizowanych rymów jak „radosna — krosna”, „serce — kobierce”.

Od czasu do czasu próbuje autor na pozór śmieszych metafor i one — układane według mechanicznego schematu — zdradzają, gdy je dokładniej zanalizować, zbyt tradycyjną obrazowość. Przykłady: „niebios granatowa firanka”, „miesiąca srebrny dzbanek” itp.

W poezji Romana Kiełkowskiego z wyjątkową pewnością można stwierdzić związek treści utworu z jego formą. Bardzo daleki w formie od jakiegokolwiek nowoczesnego systemu organizowania wiersza rzeczywistości, jest Kiełkowski również w treści odległy od tego, co się współcześnie dokłada rozgrywa. Nie znaczy to, aby niektóre jego wiersze nie zawierały w mniejszym lub większym stopniu o przeżycia i wypadki wojenne i okupacyjne. Ale przeważa ich rozgrywa się jeszcze w greckich lasach, gdzie jurny Faun ściga cudną Nimfę, na tle płócien Böcklina i Malczewskiego Jaka”, w średniowiecznej atmosferze trawestowanej Ballady Chodźki i Mickiewicza, wśród „kwiatów”, „żywiolów”, „legend” i „zamysłów” (tytuły poszczególnych części zbiorku), z ich specyficznym akademickim klimatem abstrakcyjnej literackości.

Mimo wszystko jest w poezji Kiełkowskiego pewna doza niewątpliwie uczuciowej poetyckiej: czystość języka, klarowność obrazu, który choć banalny i tradycyjny, bywa jednak staranny i na ogół pełen umiaru. Poruszający się dość swobodnie i bez większego wysiłku w rozmaitych systemach metrycznych i wersyfikacyjnych Roman Kiełkowski może żywić nadzieję, że — po zdobyciu pewnej samodzielności widzenia i dokonaniu poważniejszych skrótów literackich swojej poezji, zbyt jeszcze rozległej i „mówionej” — stworzy wiersze, w których nie tylko sam tytuł będzie interesujący.

Henryk Vogler

**OCHRONA PRZYRODY**

Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Nr 58. Jan Nowakowski. Przemyśle z ziemi. Ochrona przyrody a wychowanie. Kraków, 1946; str. 23 i 1 nł i 1 tabl.

Autor „Przymiera z ziemią” naświetla sprawę ochrony przyrody w dwójki sposób: od strony gospodarczej i wychowawczej. Drogi własnych rozważań i odpowiednich cytów wykazuje, jak zgubne skutki dla kraju spowodowała rabunkowa gospodarka bogactwami i obszarami ziemi np.: zanieczyszczenie stanu dół spowodowane nieracjonalnym wycianiem lasów, stopniowe wyczerpanie wód podziemnych i ich kosztowna substancja biologiczna itd. Postęp techniczny — według autora — nie stoi w sprzeczności z ideą ochrony przyrody, lecz technika powinna wysłuchać jej praw, by nie doprowadzić do wyniszczenia najżytniejszych bogactw ziemi. Uchronić przyrodę od zagłady można przez odpowiednie wychowanie młodego pokolenia: wychowanie to wymaga podjęcia młodzieży twórczo oddziaływania na przyrodę. Autor pragnie, by idea ochrony przyrody nie była przemycana ukradkiem na marginesie takiej czy innej lekcji lub w momentach nastrojowych literackich wzniesień, lecz — by młodzież w szkole, tej pospolitej i codziennej, stanęła wobec problemu ochrony przyrody”, przy nauce każdego przedmiotu, na każdej wyprawie, by idea ta weszła jej w krew, gdyż wówczas dopiero, bez wielkich słów i patosu, odnajdziemy drogę do odrodzenia zagubionych przez wojnę wartości.

Ta niewielka, skromna książeczka stanowi pożyteczny wkład w dziedzinę naszej wiedzy o przyrodzie i jej wartościach wychowawczych. Pisana poważnie i spokojnie, ze szczególną subtelnością intelektualną i pewnym stylizacyjnym wyszukaniem, nie jest pozycją popularną, nadającą się do rozpowszechnienia wśród najszerszych warstw. Przestawiona jest dla wychowawców i wszystkich tych, którzy w jakikolwiek sposób, pośredni czy bezpośredni, mogą wywrzeć wpływ na młodzież. Poruszano tutaj zagadnienia są szczególnie ważne w obecnej chwili.

Autor apeluje do rycerskich uczuć młodzieży, które winny im nakazać obronę istot słabszych, a do takich należą także twory przyrody. Zaiste, moment, w którym rycerskie instynkty nie będą wyżywały się jedynie w bohaterstwie wojennym, lecz w konstruktywnej, pokojowej pracy nad ochroną i mnożeniem dóbr danych nam przez naturę — będzie zaczątkiem prawdziwej odbudowy. Bowiem — „ochroimy przyrodę” — to znaczy — nie prowadzić dalej barbarzyńskiego dzieła, rozpoczętego przez waga, to znaczy zatrzymamy się na granicy, która dzieli człowieczeństwo od beznamiętnego niszycielskiego, co w prostej linii prowadzi do wandalizmu.

„Nieprzyszedł — pisze autor — zaprawdę zniszczenia wraz z ludem i jego ziemi, jej bogactwa i piękna, wartości podłoża biologicznego. Ziemia cierpiała i walczyła wraz z nami... (i teraz) wzywa pomocą ludzi dobrej woli”. A przymerze z ziemią nigdy nie zawiedzie i jest niemal równoznaczne z humanitarną postawą wobec wszytkiego, co żyje.

Krytyka Kuzłkowska

**NOWE KSIĄŻKI**

**KSIAŻKI PRZYJACIELA ZWIERZĄT**  
Arkady Fiedler. Zwierzęta z lasu dziewego. (Kraków), „Czytelnik”, 1946; str. 145 i 3 nł.

Arkady Fiedler. Kanada pachnąca żywicą. (Kraków), „Czytelnik”, 1946; str. 245 i 3 nł.

Oprócz najnowszych, niedawno napisanych książek („Dziękuję ci, kapitanie”, „Dywizjon 303”) A. Fiedlera, wydał „Czytelnik” na nowo dwie jego znane sprzed wojny książki: „Zwierzęta z lasu dziewego” i „Kanada pachnąca żywicą”. Obie te książki stanowią w powojennej literaturze dodatnie pozycje, ponieważ, pomijając drobne usterki, są poczytelnymi, dobrze napisanymi książkami, wprowadzającymi wyczerpanego wojennymi przeżyciami czytelnika w świat egzotycznych lasów i ich sympatycznych mieszkańców. Arkady Fiedler, entuzjasta natury, przyjaciel zwierząt i zamiłowany podróżnik oprowadza czytelnika w pie wiesz książkę po biotynistych, zwodniczych, pełnych niebezpieczeństw dżunglach Ameryki Południowej, w drugiej przebiega rozległe puszcze kanadyjskie, przepływa szeroko rozlane jeziora. Książki te są napisane żywo, poprzetykane opisaniami życia, wyglądu egzotycznych zwierząt i romantycznymi historiami zesłowiecznych kondotierów. Warto podkreślić, że każde, jak gdyby osobne, opowiadanie, z których składają się książki, przemycą też duży ładunek wiadomości naukowych, ukrytych w krótkich dziełach chociażby papugi! Kora czy pancernika Tadka. Zwierzęta lasu dziewego i ples-husky czy niedźwiadzek północnej Kanady, to nie tylko przedmioty naukowych, obiektywnych obserwacji — to przede wszystkim współbohaterzy książki, mili znajomkowie, nawet przyjaciele, których autor rozumie świetnie i traktuje jak ludzi.

Mimo to odzywa się czasem w Fiedlerze człowiek-zdobycyca, myśliwy. Tropi zaciekle nad martwymi jeziorami kanadyjskimi łosia — ale jednak... Jednak po strzale oddanym do zwierzęcia czuje nie smak i żal. Lecz przy tym wszystkim opowie z zapałem prymitywizm i surowe prawa puszczy, gdzie rzadzi silniejszy, gdzie słaby i ułomny nie mają prawa do życia. I tu nasunęła się autorowi smutna analogia do stosunków panujących wśród ludzi. Nasunęła mu się podczas wojny, lub może po wojnie, bo przytacza w tym nowym wydaniu refleksje, jakie wypłynęły po rozmowie z Anglikiem w r. 1945, na temat plakatu nawołującego do pomocy dzieciom Europy, którym grozi śmierć głodowa, a które na plakacie są przedstawione jako tłuszcziutki, różowe bobasy. Anglik bo-

wiem wyjaśnił, że dobroczynność obudzić można łatwiej „pokazując przyjemne, pyzate buźki niż wyznajniące kościelce...”

Czytelnicy polscy nie potrzebują tego odkrycia wysuływać z subtelnej analogii plakatu propagandowego. Doszli do tego stwierdzenia wcześniej, bo już na początku wojny. I nie dziwi ich strach przed człowiekiem u szlachetnych i rycerskich zwierząt znad Ukajali czy jeziora Smalego Szczupaka.

We wszystkich aluzjach zdąży autor do wykazania rozdźwięku między człowiekiem cywilizowanym a przyrodą. Między człowiekiem miastem a spokojnym, czerwonoskórym mieszkańcem puszczy Północy. Autor entuzjastycznie się każdym nowym widokiem, pokochuje każdego nowego zwierzęcia. I za to serce wybaczy mu czytelnik częste łatwizny i potknięcia w rodzaju „falującego oddechu”.

Obie te książki są przyjemną lekturą wypoczynkową. I zapewne obie te nowe wydania znajdują chętnych czytelników i książkami z okresu wojennego.

Na osobną uwagę zasługuje staranna oprawa graficzna książek.

**OTUCHA DLA ZAPOZNYCH PÓTBÓW**

Zofia Szwarczkowa. Gizela, dziecisko ludu polskiego. Powieść. (Kraków), 1946; str. 310 i 2 nł.

W przedmowie do swej książki Zofia Szwarczkowa pisze, że będzie chciała przedstawić w niej dzieło dziewczyny tkwiącej w robotniczym środowisku śląskim, niezrozumianej, „zostawionej samej sobie” i „tęskniącej za sercem i ciepłymi uczuciami”. Dalej oświadcza, że w książce tej „poprzez pewną analogię, odzwierciedla się i moje życie”. Czytelnik jednak ma wrażenie, że niektóre partie tej książki są już nie tylko „analogią”, lecz autentycznymi epizodami własnych przeżyć autorki. Szczególnie zwraca uwagę namiętny atak przeciw krytykom i redaktorom pism.

Gizela — bohaterka powieści — przychodzi na świat jako czwarta córka. Ojciec, zdeklarowany „czarny charakter”, nienawidzi jej, ponieważ oczekiwał syna. Mała Gizela rośnie, zaczyna chodzić do szkoły, wykazuje ogromne zdolności i... pisze pierwsze utwory poetyckie. Potem tworzy już na większą skalę i obsyła redakcje swymi wierszami. Niestety, nie otrzymuje ani jednej odpowiedzi. W rozgoryczeniu pisze długi poemat oskarżający ludzi pracujących około literatury i wysyła go także. To też nie odnosi skut-

ku. Tymczasem wychodzi za mąż za człowieka, którego nie zna. Mąż okazuje się głupim, gnuśnym leniem. Gizela sama walczy z życiem, z czasem społecznia się i zaczyna pracować w związkach zawodowych. Zwraca tu na siebie uwagę przełożonych, zaczyna pisywać artykuły do czasopism i doczeka się wreszcie tryumfu, zamykającego powieść: osiąga niezwykle sukces po wystawieniu swej sztuki na amatorskiej scenie.

Fabula powieści — nie jest oryginalna. Ciekawe jest tylko rozprawienie się autorki — przy pomocy Gizeli — z krytyką literacką. Jednak czytelnikowi trudno jest się dziwić objętości redaktorów — podkreślonej z gorczyca — gdy czyta, wplataną w akcję powieści, starannie rymowane utwory Gizeli.

Sama powieść jest pisana łatwo, budzi jednak bardzo poważne zastrzeżenia. Początkowo bowiem przypomina sentymentalną opowiadankę dla dzieci, potem przechodzi w melodramatyczną powieść. Schludna, miła i marzytelna Gizela (tak ją prezentuje autorka) nie zyskuje sympatii czytelnika. Tak samo naiwnie naszkicowani ludzie z otoczenia Gizeli snują się poza kręgiem uczuć czytelnika.

Czytelnik rozumie nieszczęścia Gizeli, widzi niesprawiedliwość, jakiej ona doznała, chciałby jej współczuć, lecz zraża go postępowanie się przez autorkę naiwnymi i przebrzmiałymi chwytyami.

W przedmowie Z. Szwarczkowa wyraża przypuszczenie, że „krytycy znają w niej (w książce) być może szereg ujemnych stron, dotyczących formy czy treści”, jednak ufa, że spotka się z życzliwością czytelników. Recenzent tej książki, lecz nie może nie wytknąć, oprócz wymienionych już usterek, rażąco naiwnego stylu, przypominającego przesyła już i zapomniane „powieści dla dorastających panienek”.

Tadeusz Konwicki

**TRZASKA, EVERT i MICHALSKI**

Księgarnia Wydawnicza w Warszawie, Marszałkowska 51

Ostatnie nowości:

DEOTYMA FORESTER	— Panienszka z okienka	PODREČNIK PIĘTKA	— inżynierski
JUNGMAN	— Elita o Molte	POTEMKOWSKA	— Wstęp do nauki prawa
KOSKOWSKI	— J. J. Rousseau	OSTROWSKI	— Wielki spór w V klasie
KOZMIŃSKI	— Receptura		— Libeli
	— Szerepura		— (podręcznik łaciny)
	— jednolitych	TUSZYŃSKI	— Samochód nowoczesny
PARANDOWSKI	— Wajna Trójjanka	WISŁOCKI	— Prawo osobowe
PARANDOWSKI	— Przypadki Odysosa	WOLIŃSKI	— Król Jan III Sobieski

KRONIKA  
ILUSTROWANA

## Szkoła krytyków

## KAROL IRZYKOWSKI



**PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI**  
zmarł dnia 2 października 1946 r. w Warszawie. Literatura polska straciła w nim publicystę szlachetnego, głęboko przejętego duchem walki o postęp i sprawiedliwość. Syn robotniczego Zyrardowa pozostawił o nim piękną książkę wspomnień pt. „Mój Zyrardów”. Ostatnim dziełem jego była powieść „Księżyc nad Cieszymem”



**MARIA PRZYBYŁKO-POTOCKA**  
wybitna artystka sceniczna, zginęła w czasie powstania warszawskiego. Pogrzeb odbył się dnia 29. X. 1946 r.



**MICHAŁ SZOLOCHOW**  
znakomity pisarz radziecki, autor „Cichego Donu”. Jest kandydatem do tegorocznej nagrody Nobla. Kandydaturę jego wysunął znany poeta szwedzki Erik Blomberg, który w „Ny Dag” opublikował serię artykułów poświęconych twórczości autora „Zoranego ugoru”. Przyznanie tegorocznej nagrody Nobla w dziedzinie literackiej nastąpi 10 grudnia. — Szolochow pracuje obecnie nad powieścią „Walczyci za ojczyznę”



**GRAŻYNA BACEWICZÓWNA**  
świetnie zapowiadająca się kompozytorka, której Drugi koncert skrzypcowy wykonała dnia 18. X. 1946 r. Filharmonia Łódzka

Drugiego listopada minęły dwa lata od śmierci Karola Irzykowskiego. Rationy w czasie powstania warszawskiego tylko kilka tygodni przeżył jego upadek. Choć wielokrotnie w prasie literackiej pojawiał się w miastach niepodległości jego nazwisko, pojawiał się szczególnie wówczas, kiedy piszący zapytali siebie — a co by Irzykowski na to powiedział? jakby ocenił? — chociaż więc nie można mówić, by zapomnienie pokrywało jego imię, nie zdobył się dotąd nikt na ocenę Irzykowskiego, i podjęcie pozostawionych przez niego wątków myślowych. Notatka w szkole krytyków nie spłaci też tego długu, który nadciągnie na krytyce współczesnej. Notatka może jedynie wskazać, dlaczego istnieje on w tak żywej postaci.

Urodzony w 1873 roku, Irzykowski z wieku należał do pokolenia Młodej Polski. Był rówieśnikiem pisarzy tak bardzo młodopolskich jak Rittner, Berent, Miński. W roku wybuchu pierwszej wojny światowej liczył lat czterdzieści jeden. Mimo to do generacji Młodej Polski trudno go zaliczyć, chociaż jedyna powieść Irzykowskiego „Paluba” zrozumiała jest tylko na tle zająć duchowych z końca wieku. Uderza nadto fakt, że w historiach literatury Młodej Polski, u Feldmana i Potockiego, Irzykowski występuje jedynie jako autor „Paluby”, głucho jest natomiast o jego krytyce literackiej, jej podstawach i wynikach. A przecież tę działalność już wówczas Irzykowski miał za sobą — tom rozpraw krytycznych „Czyn i słowo” zebrany został w roku 1913, książka o Hebbelu starsza jest o kilka lat. Zasady krytyki literackiej, jakimi kierował się Irzykowski, już wówczas były jak najdalej od metafizycznych, głębinowych i górnio filozoficznych postulatów krytyki młodopolskiej. Wystarczy na ile ówczesnych rozpraw Irzykowskiego przeczytać bodaj stronę „Legends Młodej Polski”, by stwierdzić jasno, który z pisarzy, Brzozowski czy on, jest bliżej stylu krytycznego Młodej Polski nawet wówczas, kiedy całą formację duchową swojego pokolenia usiłuje przelamać i przewyciężyć.

Dopiero dwudziestolecie międzywojenne stało się dla Irzykowskiego-krytyka areną pełnego rozwoju. Ze jest autorem „Paluby”, pamiętali wówczas nie liczni, czytali zaś tę książkę jeszcze mniej liczni. Ze natomiast w każdym sporze literackim Irzykowski zabierze głos, wiedzieli wszyscy. Prowadzi nas to w sedno dzisiejszej nieobecności Irzykowskiego w literaturze polskiej. Bo na działalność krytyczną Irzykowskiego, to znaczy na merytoryczne postulaty, jakie on stawiał, z ostatecznym postulatem klerka i intelektualisty, przy jakim pozostał, na tę stronę jego dorobku można się zapatrywać różnie. Można wykrywać sprzeczności pomiędzy palubicznym myśleniem Irzykowskiego, według którego rzeczywistość ma jednak większą rację od myśli porządkującej na sposób idealistyczny; można wskazywać, że ideał klerka stojącego z boku jest również ideałem o wyrażonej barwie światopoglądowej; można na wielu punktach wznowiać dyskusję z Irzykowskim, bo jego dorobek jest żywy i kto pragnie być krytykiem dzisiaj żywym, nie może obok tego dorobku przejść, nie zająwszy stanowiska. „Utopia Irzykowskiego”, o której pisał kiedyś pod tym tytułem Ludwik Fryde

(miesięcznik „Droga”, 1934), domaga się odpowiedzi u każdego młodego krytyka.

Nie będziemy po nią sięgać. Kiedy wybiegamy dzisiaj pamięcią ku pisarzowi, który w najcięższych latach okupacji miał dosyć żywotności, by interesować się najmłodszymi rocznikami literackimi, swymi wnukami nieledwie, kiedy pamiętamy, że tak było przez całe życie Irzykowskiego, kiedy uświadomimy sobie jasno, że wśród sposobów krytycznych jednego on tylko nie znał — wzruszenia ramionami, staje się jasne, czym był Irzykowski na pewno, niezależnie od treści jego przekonań. Był na pewno wzorem codziennych cnót krytyka. Nie zlekceważył żadnego zjawiska, żadnego pisarza, nie zlekceważył przede wszystkim nigdy cudzej myśli. Po każdą sięgał, każdą starał się prostować. Był krytykiem sokratycznym w pełnym brzmieniu tego terminu. Tę nieskończoną cierpliwość miano nieraz za złe Irzykowskiemu. Stefan Kołaczkowski napisał o nim, że nie zostaje się Machiavellem, pisząc traktaty wymierzone przeciwko Waldemarasom. Był to dyktator litewski przed kilkoma laty. Nic podobnego! Irzykowski nie stałby wioskami książek i kondotierów, nie zostałby napisany „Książę”, to przeciw komu był napisany, jak nie przeciw nim?

Codziennie cnoty krytyka są cnotami trudniejszymi, niż się przypuszcza. Przekonania miewają wszyscy. Przymierzają te przekonania do coraz nowych faktów, konfrontują, czujnie sprawdzają tylko nieliczni. Do nich należał na pewno Irzykowski. Kiedy rozejrzeć się wśród jego poprzedników w krytyce literackiej i jego współczesnych, miał też czujność jak nikt. Jest samotny samotnością norwidgejskiej próby.

kjm

stawę godną narodu walczącego o wolność Europy“ i uważa czynny antysemityzm polski za „zbrodnie i grzechy garstki mętów społecznych, działających z chęci zysku, czy fanatyków, występujących najczęściej pod osłoną frazesu etyki chrześcijańskiej”, wzywa nawet do wydania „Białej Księgi o stosunkach polsko-żydowskich by wreszcie przestano nas uważać za kraj żydożerców”. Jeśli jednak „tylko garstka”, to czemu aż czasopismo, o którym zaraz w pierwszym numerze słusznie czytamy że „nie ulega wątpliwości, iż jest potrzebne i czas już najwyższy, aby rozpoczęło pełnić swą służbę”? W zasadniczym, wstępnym artykule redakcji punktem wyjścia jest, że „jad rasizmu wszczępiony w duszę polską nie znikł z naszego życia politycznego i społecznego”, co więcej, że walka ze złem rasizmu i antysemityzmu jest w naszych warunkach szczególnie ciężka i trudna. „Prawo Człowieka” tłumaczy to rezerwą i biernością „wielu czynników naszego duchowieństwa”, zajmujących wobec antysemityzmu zgoła inną postawę niż duchowieństwo zagraniczne, które „od dawna stanęło w pierwszym szeregu walki z rasizmem i antysemityzmem”. I wiele innych czynników złożyło się na znany nam wszystkim stan rzeczy. „Prawo Człowieka” walczy o jego zmianę. Lepsza to droga niż uludne widzenie tylko barw jasnych.

jaszcz

ŻYCIE MUZYCZNE  
W KRAKOWIE

Z dużym zadowoleniem powitaliśmy pomysły urzędzenia koncertu muzyki czeskiej w Filharmonii Krakowskiej. Czas już wielki, by zacząć wymianę kulturalną na terenie współczesnej twórczości muzycznej zahamowaną przez długie sześć lat wojny; chodzi przede wszystkim o Czechów, którzy mają tak bogatą kulturę muzyczną, tylu interesujących kompozytorów i tyle godnych uwagi dzieł.

Wyrażając uznanie dla samej inicjatywy — wydaje się, że program koncertu można było ułożyć ciekawiej. Szczególnie żałować należy, że nie pokazano Kogos z najmłodszych kompozytorów czeskich, ale choćby np. Bogusława Martinu, który w Polsce jest prawie nieznanym. Dwójak jest pozycja bezspornie słucha się go zawsze z przyjemnością, tyle w nim muzyki i to dobrej muzyki, ale właśnie symfonia „Z nowego świata” była w ostatnich dwóch sezonach grana tak często, że trzeba było zastąpić ją jakimś innym utworem.

Dobra kompozycja popularnego typu jest uwertura Fibicha „Noc na Karłowcu”, ale twórczość Fibicha nie wnoszą do międzynarodowego języka owych czasów (1850—1900) koloru narodowego. Zupełnie nieinteresujący jest koncert skrzypcowy J. Slavika, znanego wirtuoza czeskiego (mniej więcej współczesnego Paganiniego), typowy utwór wirtuozowski, zawdłużający swe powstanie raczej zewnętrzny okolicznościom niż bezpośrednio inwencji, co więcej — dość przebrzmiały, jeśli chodzi właśnie o jego stronę wirtuozowską.

Młody skrzypek czeski, którego poznał w tym koncercie, Jaroslav Vaněk, zrobił jak najlepsze wrażenie: ma piękny ton, duże wyczuwanie kolorystyki skrzypcowej (zalety te ujawniły się szczególnie w pierwszym utworze zagrany „na bis”, na skrzypce solo, własnej jego kompozycji), temperament artystyczny, a ponadto bardzo dobra technika lewej i prawej ręki. Pewne skrepowanie i nierówności gry w Koncercie Slavika tłumaczyć należy niepełnym zgraniem się z orkiestrą, której akompaniament niejedno pozostawiał do życzenia (brak precyzji rytmicznej).

Jeśli idzie o orkiestrę pod batutą W. Bjerdiajewa, to najlepiej wypadło wykonanie Symfonii Dwójaka; charakterystyczny temat jej pierwszej części miał ładnie, delikatnie zarysowaną linię. Trafnie wydobyci też liryzm części drugiej.

Mam nadzieję, że tego rodzaju koncerty staną się trwałą pożywką w naszym życiu muzycznym i że Towarzystwo Przyjaciół Polsko Czeskiej, prowadząc odpowiedzialnie materiały i czeskich artystów-wykonawców, którzy zawsze będą serdecznie witaniymi gośćmi na naszych estradach koncertowych, umożliwi nam już wkrótce poznanie współczesnej czeskiej muzyki symfonicznej.

Stefania Łobaczewska

CENNE WZNOWIENIE!

GOGOL

MARTWE  
DUSZEPRZEKŁAD  
WŁADYSŁAWA BRONIWSKIEGO

Str. 268

Zł. 160.—

„KSIĄZKA”

261

## PRZEGLĄD PRASY

Przed niedawnym czasem ukazał się setny numer „Trybuny Wolności”, dwutygodnika społeczno-politycznego, obok miesięcznika „Przeгляд Socjalistyczny”, najpoważniejszego organu myśli socjalistycznej w Polsce — najlepsze źródło do poznania bieżącego programu i linii polityczno-społecznej polskiej demokracji ludowej.

W obu ostatnich, obszernych numerach „Przeгляdu Socjalistycznego” obok artykułów na tematy zasadnicze (jak np. J. Cyrankiewicza i J. Hochfelda o „Jednolitym frontie proletariatu”, Cz. Bobrowskiego, A. Kwiatkowskiego, J. Rudzińskiego o zagadnieniach planu trzyletniego) znajdujemy niezmiernie bogaty przegląd spraw, zadań i problemów bieżących, zarówno polskich jak zagranicznych, zarówno politycznych jak kulturalnych. W „Trybunie Wolności” zwraca uwagę stanowcza rozprawa z linią polityczną PSL. W obu pismach położono duży nacisk na zagadnienia gospodarcze, naświetlone rzeczowo i systematycznie.

Jubileuszowy numer „Trybuny Wolności” otwiera wspomnienie Władysława Gomułki o Marianie Buczku, jednym z tych bojowników o polską demokrację ludową, którego historia życia i śmierci „jest najbardziej wymownym wyrazem tych tradycji walk niepodległościowych i klasowo-wyzwoleńczych, które przejęła od swych poprzedników Polska Partia Robotnicza”. Socjalistycznej przeszłości w Polsce dotyczą cenne, źródłowe, mało znane „Kartki z historii socjalizmu” ogłaszane stale przez „Przeгляд Socjalistyczny”. Ostatnio też „Trybuna Wolności” rozpoczęła druk opracowywanych przez Marię Turlejską przyczynków do powstania i konspiracyjnej działalności PPR za okupacji. Dzieje „Proletariatu” czy bojowców PPS powinny wryć się w pamięć narodu nie mniej niż dzieje spisku podchorążych czy powstańców styczniowych. Opis losu 61 numerów podziemnej „Trybuny Wolności” (lutych 1942—czerwca 1944) to rozdział z dziejów konspiracyjno-narodowego czynu polskiego, godzien, aby wszedł — w odpowiednim opracowaniu — do lektury szkolnej, to obraz czynu łączącego romantyzm i najbardziej porywające bohaterstwo indywidualne z rozumem politycznym i bezbłędną analizą sytuacji, i prowadzący dlatego nie na emigracyjne manowce, lecz do tak rzadkiego w Polsce zwycięstwa.

Z wydawanych poza Warszawą periodyków partyjnych godzi się zwrócić uwagę na „Głos Pracy”, czasopismo, które już drugi rok wychodzi w Krakowie, a obecnie, przekształcone w polityczno-gospodarczy dwutygodnik pod redakcją Romana Szydłowskiego, podjęło w lepszej niż uprzednio formie swą pracę informacyjną. W czasopiśmie nie brak powojennych artykułów popularnych i naukowych obok stale prowadzonych działów „Gospodarka polska” i „Gospodarka światowa” oraz kolumny spraw młodzieżowych. W numerach 72—73 „Głosu Pracy” Józef Sieradzki wyliczył skrupulatnie polityczne „Grzechy Stanisława Mikołajczyka”, określając politykę przywódcy PSL jako swoistego rodzaju „kierśnyszczynę”, zresztą bezsilną wobec bloku jednocy robotniczej. Ostatni (74) numer pisma poświęcony został rocznicy Rewolucji Październikowej oraz Powstania krakowskiego 1923 r. „Czegoż nas uczy listopadowa krakowska rocznica? ...że walka o samą demokrację polityczną jest budowaniem domu na piasku, jeśli nie idzie z nią w parze zdecydowane przeprowadzenie reform gospodarczych” — uważa słusznie Tadeusz Dzielski.

W związku ze zjazdem pisarzy w Łodzi „Kuźnica” wystąpiła z interesującym, powiększonym numerem, otwierającym go tekstem przemówienia na zjeździe Stefana Żółkiewskiego. Zasadnicza teza znakomitych wywodów Żółkiewskiego jest niesporna: „Moralność pisarza wymaga dziś jasnej deklaracji politycznej — nie tylko w życiu ale i w literaturze”.

Kto jest „bohaterem naszych czasów”? Jan Rojewski w „Kuźnicy” (nr 40) odpowiada pół żartem pół serio: Albert Harris. Osoba „słynnego” piosenkarza, wśród pewnych paradoksów życia współczesnego, nabrała istotnie cech niespodziewanie reprezentacyjnych i zasłużyła sobie na sztych i uśmiech Rojewskiego.

Tragicznymi bohaterami czasów wczorajszych zajmuje się w cyklu artykułów w „Kuźnicy” Apoloniusz Zawilski, który kolejno omawia wojskowe, gospodarcze i społeczne przyuczyny klęski wrześniowej, a choć nie przytacza nowych faktów, jego praca ma cenne zalety syntetycznego i przejrzystego ujęcia ogromnego materiału. Z Zawilskim sąsiaduje cykl notatek Jana Kotta z pobytu w Paryżu. Autor zarówno gdy pisze o sprawach literackich jak i społecz-

nych — splatając je najczęściej ze sobą, jak je splata życie — jest nie tylko błyskotliwym causeurem, ale wybournym informatorem i zorientowanym przewodnikiem. Krąg jego zainteresowań jest szeroki, skala znajomości rozległa. Pod datą jednego z dni paryskich opisuje Kott odwiedzin w domu sierot żydowskich z Polski; są to te same sieroty ocalone z ghetta, ocalone niemal wyłącznie przez Polaków, które inni Polacy zmusili do tułania się z Rabki do Zakopanego, a następnie do ucieczki przez zieloną granicę. Prosty, rzeczowy i spokojny opis Kotta wywołuje bolesne wrażenie. Nie dawno Maria Dąbrowska („Przekrój”, nr 76) podjęła się żarliwej apologii stosunku Polaków do Żydów. Podkreślając wspaniałą postawę literatury polskiej i heroiczną pomoc udzielaną Żydom przez Polaków w okresie okupacji, ani o włos nie odchyliła się Dąbrowska od faktów. Czemuż więc opis Kotta odczuwamy jako odpowiedź, jako smutną ale przekonującą polemikę z artykułem w „Przekroju”? Ponieważ wielka pisarka zasługi wielu przypisywała większości, rozciągnęła na ogół. A wówczas narzuca się rozpaczliwe pytanie: czemu zatem w powojennym świecie tylko w Polsce wydarzyły się Kielce, czemu tylko w Polsce dzieci żydowskie (te dzieci, o których z tak serdeczną sympatią pisał Dąbrowska) prześladowano wżgardą i napaścią, kulami karabinowymi i rzutem granatu, prześladowano tak długo i do tego stopnia, że musieli szukać azylu poza ojczyzną? „Nie pojedź za granicę, ponieważ wstydę się (po Kielcach) rozmawiać z cudzoziemcami” — cytuje Kott. Oto jest przeraźliwa racja, wobec której umilknąć muszą najszlachetniejsze głosy obrony, o ile mają w sobie choćby cieką jednostronność.

Zjawisko to występuje zawsze, gdy się mówi o kwestii żydowskiej w Polsce. Oto np. „Prawo Człowieka”, nowe czasopismo pod redakcją Olgerda Górki, wychodzące jako organ Ligi do Walki z Rasizmem. Gdy Marek Arczyński, kierownik tajnej Rady Pomocy Żydom, opisuje dzieje akcji Żegoty za okupacji — podkreśla wielostronność i praktyczną wartość pomocy udzielanej wśród i mimo nieopisanych trudności, stwierdza, że „olbrzymia część naszego społeczeństwa w obliczu wspólnej tragedii przyjęła po-

# De Gaulle czyli marzenie o dyktaturze

Henri de Kerillis był przed wojną politycznym publicystą „Echo de Paris“ i posłem prawicowym do Izby Deputowanych. Jako poseł odznaczył się przede wszystkim tym, że — jeśliby obok komunistów — głosował w Izbie przeciw układowi monarchicznemu. Zawsze usposobiony antyhitlerowsko ostrzegł Francuzów, że ustępstwa wobec dyktatorów do niego nie doprowadzą; w Bordeaux głosił przeciw pełnomocnictwu dla Pétaina, poszedł na emigrację, osiadł w Kanadzie, wiele działał, aby osłabić wpływy Vichy wśród kanadyjskich Francuzów, wypowiadając się za najdalej posuniętą współpracą z Anglosasami, co więcej — za zupełnym w czasie wojny uzależnieniem Francji od mocarstw anglosaskich.

Po wojnie do Francji nie wrócił. Pozostał w Kanadzie. Wydał tam obecnie, bez podania miejsca druku, książkę — pamflet polityczny „De Gaulle dictateur“, ale wielką ilość cytowanych dokumentów i przekonywająco i logicznie przeprowadzone rozumowanie każą jej podstawową tezę traktować poważnie.

Teza ta brzmi: de Gaulle, początkowo generał, którego jedynym zamiarem było utrzymanie po kapitulacji francuskich sił zbrojnych w obrębie armii alianckich, stał się szybko narzędziem w ręku prawicowo-faszystowskiej konspiracji francuskiej „La Cagoule“; z generała stał się politykiem, z głosiela powrotu do republikańskiej legalności stał się chwilowym dyktatorem i kandydatem na trwałego dyktatora.

„La Cagoule“ i kagulardzi są dziś we Francji przedmiotem żywego zainteresowania. Konspiracja prawicowa, zorganizowana sprawnie, działająca przed wybuchem wojny, obejmowała zarówno skrajnie antydemokratycznych Francuzów jak i — niekiedy — agentów hitlerowskich. Zrezygnowała umiała pozyskać wielu wyższych oficerów (głównie ze sławnej szkoły oficerskiej w Saint-Cyr) i wyższych urzędników. Po katastrofie 1940 roku część kagulardów szybko się ujawniła i znalazła się w grochu najbliższych współpracowników — nie tylko Pétaina, ale i hitlerowskie — go wychowawcy Francji, Ottona Abetz; część nacjonalistyczna znała się u de Gaulle'a. Wśród nich — twierdzi Kerillis — także wielu agentów niemieckich.

I oto się zaczyna — w tym otoczeniu — droga de Gaulle'a. 1 lipca 1940 zawiera on układ z Anglią; jest wtedy jeszcze tylko generałem francuskim tworzącym armię po stronie alianckiej. Ale już 1 października 1940 ogłasza, iż „nie ma rządu francuskiego“, że musi powstać rząd nowy i że obejmuje władzę „w imieniu Francji“. Zaczyna się przewlekła walka o uznanie tego rządu przez aliantów, dość długo bezskuteczna.

I zaczyna się — twierdzi de Kerillis — „wykańczanie“ wszystkich ewentualnych konkurentów przy pomocy metod, niewiele odbiegających od policyjnych metod niemieckich. Znikają stopniowo, są usuwane na drugi plan, po obrzuceniu prasą jako „zwolennicy Vichy“ lub „reakcjonści“, wszyscy wojskowi francuscy, którzy opowiadają się przeciw Vichy. Kwaterna de Gaulle'a odmawia zgody na plany ułatwienia ucieczki z Francji i Lebrunowi,

i Herriotowi, i najgroźniejszemu rywalowi politycznemu, Mandelowi, jedynemu w czasie wojny energicznemu ministrowi spraw wewnętrznych, owianemu tradycją współpracy z Clemenceau.

Nie było większych trudności z usunięciem D'Alana, a generała Giraud, najstarszego rangą oficera francuskiego na wolności, organizatora tych jednostek wojskowych, które wyzwały wspólnie z Anglosasami Tunis, usunięto najpierw na plan drugi, potem sprawiono, że stał się ofiarą tajemniczego zamachu, z którego wyszedł ciężko ranny.

Ustawa z 1870 r. przewidywała, że, jeśli terytorium Francji jest okupowane i nie ma parlamentu — delegaci rad departamentalnych z wolnych już departamentów tworzą tymczasowy organ rządzący i powołują tymczasowy rząd Francji. Zamiast szukać tego rozwiązania de Gaulle powołał „Zgromadzenie Doradcze“ składające się tylko w drobnej części z tych deputowanych, którzy nie głosowali za kapitulacją w 1940 r. i znajdowali się w wyzwolonej Afryce lub na emigracji, w ogromnej natomiast większości z nominatów de Gaulle'a.

Od polityki antyrosyjskiej przerzuciła się do polityki prorosyjskiej, zależnie od tego, czy może to służyć jako argument w grze z Anglosasami. W 1939 r. jest de Gaulle kandydatem na dowódcę francuskiego korpusu ekspedycyjnego w Finlandii, popiera plany Weyganda, by zaatakować Rosję na Kaukazie. Wiosną 1942 r. ostrzega Anglosasów przed penetracją wpływów komunistycznych we Francji. W końcu 1942 roku, po zwycięstwach rosyjskich, prasa gaullistowska pełna jest entuzjazmu dla „drogiej i potężnej Rosji“. Na ten sam okres przypada spór z Anglosasami o to, kto będzie rządził w wyzwolonej Afryce Francuskiej. Ale już w lutym 1944 gaullistowski komisarz spraw zagranicznych, Massigli, ostrzega Anglosasów, że jeśli nie poprą de Gaulle'a i analogicznych sił w innych krajach Europy — wyzwolona Europa może wpaść w te same ręce, w które dostały się Węgry i Bawaria po klęsce Niemiec 1918 r. A w grudniu 1944 r. zawiera traktat przymierza ze Związkiem Radzieckim, by mieć znów środek nacisku na Londyn i Waszyngton.

De Gaulle — twierdzi de Kerillis — nie ma własnego poglądu ani na politykę zagraniczną, ani na politykę wewnętrzną. W polityce zagranicznej jest raz antyradziecki, to znów antyanglosaski. W polityce wewnętrznej raz jest skrajnym wrogiem lewicy, raz wyznawcą rewolucji społecznej. Ale w jednym nie można mu odmówić konsekwencji: gdy swą pierwotną misję — misję tworzenia armii francuskiej dla wojny z Niemcami — podporządkowywał coraz bardziej ideałowi zniszczenia wszelkich ośrodków dotychczasowej „legalności republikańskiej“ tak, by ustrój Francji był białą i niezapisaną kartą, którego pierwsze zarysy on będzie tworzył.

De Gaulle jest więc narzędziem w ręku tajemniczych sił, które już przed drugą wojną światową postawiły sobie za cel zniszczenie republiki i demokracji we Francji.

Konstanty Grzybowski

# OSRODEK DYSPOZYCYJNY ROCZNIC

W połowie października brałem udział w posiedzeniu zwołanym przez Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki. Przybyli przedstawiciele prasy, radia, teatru, literatury, szkolnictwa i związków zawodowych wysłuchali pisma, jakie do swoich administracyjnych organów wystosowało Ministerstwo Kultury i Sztuki (Departament Literatury).

Departament Literatury zawiadamia, że w bieżącym roku przypada setna rocznica urodzin Prusa i Sienkiewicza, prosi o urządzenie uroczystości ku czci powieściopisarzy, wyraża życzenie, żeby oba jubileusze zatonęły jak najszersze kręgi, dotarły do miasteczek i wiosek; w tym celu Departament Literatury zaleca zorganizowanie komitetów, wciągnięcie do współpracy kół uniwersyteckich i związków literackich. Departament wzywa do przesłania ministerstwu wypracowanych programów i przypomina, że sprawę trzeba uważać za pilną.

Pilną? Chyba dlatego, że rok dobiega końca, że w większych ośrodkach już się dawno odbywały poranki i akademie, że czasopisma literackie i prasa codzienna już się szczęśliwie uporały z obydwioma jubileuszami, gdy wtem nagle ktoś sobie w ministerstwie przypomniał o tych rocznicach i teraz po niewczasie usiłuje dociecpić ministerstwo do sprawy, która zupełnie nie była się bez inicjatywy ośrodków dyspozycyjnych rocznic i centrali zagospodarowywania jubileuszy literackich.

Wydaje mi się, że, chcąc rozprawdzić jubileusz po miasteczkach i wioskach, trzeba wystąpić z okólnikiem przynajmniej na początku roku i nie poprzestawać na okólniku. Nie można rocznic wielkich pisarzy odważyć byle jak, jakby to były jakieś przedwojenne imieniny pana prezydenta lub marszałka. Ministerstwo nie pomyślało ani o środkach finansowych, ani o pomocach literackich. (Referent Wojewódzki zaczął od stwierdzenia, że na żadne pieniądze i książki nie można liczyć). Proszę urządzić akademie ku czci Sienkiewicza i Prusa poza miastami, w których są uniwersytety, licea i gimnazja na terenach odzyskanych lub włączonych w czasie okupacji do Reichu, gdzie niszczone książki polskie, zaczynając piwsiem wstępnym od Sienkiewicza i Prusa, Skąd brać teksty, opracowania, materiały pomocnicze? „Jaki sposób — zostać prelegentem, jeśli nie ma na to funduszy? Takimi drobiazgam Departament Literatury się nie zajmuje. Urządzić, zorganizować, wciągnąć do współpracy, zatonąć kręgi! Skończyć się na tym, że pewnego dnia cała Polska zacznie rozbrzmiewać od Bugu do Odry parą komunalami ku czci wielkich prozaików, którzy od tego będą się przewracać w grobach.

Jeśli programów uroczystości jubileuszowych mają dostarczyć ministerstwu Urzędy Wojewódzkie, które z kolei mają się o nie postarać, „przez współpracę z kółami uniwersyteckimi i związkami literackimi“, to jaka rola przypada w tym wszystkim Departamentowi Literatury? Jedni obywatele, na marginesie swoich zajęć zarobkowych, mają rocznicę obmyśleć; drudzy, z uszczerbkiem dla kieszeni i skracając czas przeznaczony na wypoczynek po pracy, mają uroczystości urządzić. Tym zaś, których państwo specjalnie w tym celu utrzymuje, terminarza rocznic literacko-kulturalnych.

Pikador

## POD CZYM ADRESEM?

Głośnie było niegdyś z wojny z miejscowym ciałem pedagogicznym miasto Dalton (USA), które wytoczyło nauczycielom proces, że wbrew biblii i ojcom miasta osmielają się gorszyć młodzież nauką o ewolucji gatunków czyli herezją, „że człowiek pochodzi od małpy“. Odbiła się rozprawa sądowa, bezbożników skazano, w całym świecie powstał wielki śmiech, „małpi proces“ przeszedł do historii, wraz z nim Dalton jak Abdera, Pacanów, Ryczywół.

Ostatnio „Tygodnik Warszawski“ dowiedział się, że „pojęcie darwinistyczne o pochodzeniu człowieka od małpy“ wprowadzono do polskich podręczników szkolnych. „Hipotezę wzięto jako pewnik naukowy, mimo że sam Darwin etc.“ rozdarł z oburzenia szaty „Tygodnik Warszawski“, krzycząc w najwyższej pasji: „Małpizony“.

Dobrze. Ale kto? jaszcz

# KORRESPONDENCJA

## BYŁE NIE Z DESZCZU POD RYNNĘ

Do redaktora „Odrodzenia“

W numerze 33 „Odrodzenia“, inż. J. Korwin Piotrowski podał mały katalog politycznych błędów językowych („Jak nie należy mówić i pisać“), przy czym obok każdej pozycji zapropomował odpowiednią korekturę. Rozumiem i podzielam w zupełności troskę p. inż. Piotrowskiego o piękno i czystość mowy ojczystej. Istotnie, nie tylko nasz język potoczny zanieczyszony jest licznymi i urozmaiconymi błędami, ale — co gorsza — błędy te wlekają się natrętnie w dziedzinę słowa drukowanego i zwłaszcza w gwiazdki dziennikarskiej święcą smutne tryumfy. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać, spotykając na łamach nawet bardzo poważnych czasopism różne „stuletnie rocznice“, „wyroki, wywołane przez trybunał sądowy“, „denatów, którzy po założeniu opatrunku udają się do domu celem dalszej pielęgnacji“ — itd. itd.

Niezależną rolę w tym zaśmiecaniu współczesnej polszczyzny odgrywa popularność rozmaitych „szlagierów“ muzycznych i radiowych, pisanych często całkiem niepolitycznie, ale pod względem upodobania niektórych humorystów i felietonistów, którzy brak pomysłowości, werwy i dowcipu próbują zastąpić kalendarzem i koślawieniem polskiego języka.

„Gazety, „przeboje“ i quasi-dowcipne felietonki znajdują szerokie rozpowszechnienie. Natomiast do wydawnictw lingwistycznych i poradników językowych, prócz filologów i literatów, mało kto zagląda. Publikacje te służą więc na ogół nie tym, którym potrzebne są najbardziej, lecz tym, którzy raczej obejść by się bez nich mogli.

Ujawnianie i omawianie błędów językowych w prasie ogólnie dostępnej i cieszącej się poczytnością jest, niewątpliwie, bardzo pożyteczne i celowe. Trzeba się jednak starać, by w zapale purystycznym nie przebrać miary i na miejsce starych błędów nie zaszczepliwać nowych, wówczas bowiem stajemy przed potęgającym zamęt językowy zjawiskiem — ucieczką z deszczu pod rynnę, lub, jeśli kto woli, wypędzaniem diabła belzebubem. Właśnie w rejestrze błędów językowych i poprawek p. inż. Piotrowskiego znalazłem kilka takich pozycji wątpliwych, na które — nie przypisując sobie bynajmniej nieomyślności lingwistycznej — pragnąłbym tu zwrócić uwagę. A więc:

Słuszna jest propozycja zamiany obcego słowa „partycypować“ — polskim „uczestniczyć“. Natomiast drugi wariant tej zamiany — „przyjmować udział“ jest wyraźnym (jakże często spotykanym) ruszcyzmem („przyjmować udział“), gdyż po polsku będzie prawidłowo — „brać udział“ (por. Antoni Krasnowski, „Słowniczek frazeologiczny“, Warszawa, 1900, str. 224).

Zwrot „zupełnie ten sam“ (podobnie jak „identycznie ten sam“) wydaje mi się tautologią, bo skoro „ten sam“, to już chyba „zupełnie“, a nie tylko częściowo. Nie wiem dlaczego niechętnie traktuje p. inż. Piotrowski czyste polski wyraz „odprawa“, skoro co najmniej od czasów Kochanowskiego („Odprawa posłów greckich“) wyraz ten ma pełne prawo obywatelstwa w języku polskim. Znaczenie pojęciowe „odprawy“ niekoniecznie pokrywa się ze znaczeniem słowa „narada“ i „zebranie“ albo „posiedzenie“ i „oznajmienie“. W języku wojskowym, na przykład, słowo „odprawa“ ma znaczenie ściśle określone; oznacza zebranie, na którym dowódca udziela podkomendnym pewnych informacji, wskazówek, poleceń czy rozkazów — i tego rodzaju „odprawy“ nie da się zastąpić należycie żadnym z czterech synonimicznych słów, proponowanych przez p. inż. Piotrowskiego.

Wśród słów, używanych „w formie niewłaściwej“, wymienia p. inż. Piotrowski także jak „wziół“ zamiast „wziął“, albo „wziął“ zamiast „wziął“. Moim zdaniem nie chodzi tu o „formę niewłaściwą“, lecz o zwykłe błędy ortograficzne, których źródłem jest nieznanność gramatyki polskiej. Słowa: „pantomina“ lub „prowincjonalny“, przytoczone w rejestrze inż. Piotrowskiego, nie mogą być uważane za błędy językowe, skoro w „Słowniku ortograficznym“, założonym do „Zasad pisowni polskiej“ St. Jodłowskiego i W. Taszyckiego (Lwów, 1936), dopuszczona jest odmiana „pantomina“ obok „pantomimy“ (str. 130), a słowo „prowincjonalny“ uznano za prawidłowe (str. 135), bez uzupełnienia go proponowaną przez p. inż. Piotrowskiego formą — „prowincjalny“.

Nie widzę również potrzeby zastępowania słowa „budyni“ słowem „kielec“, dlatego tylko, że „budyni“ jest spolszczeniem angielskiego „padding“. Po pierwsze — „budyni“ — to nie to samo, co „kielec“ lub „kaszalik“, a po drugie, gdybyśmy w purystycznym ferworze zaczęli usuwać z dzisiejszej polszczyzny wszystkie wyrazy obce, które drogą przeróbki i przekształcenia zyskały sobie w mowie naszej prawo obywatelstwa, osiągnęlibyśmy całkiem niezamierzone rezultaty, zubożając słownik polski o setki i tysiące wyrazów, tak powszechnie przyjętych, jak ołtarz, mnich, klasztor, kształt, żagiel, klejnot, szabla, lustro, fryzjer, mur itd. itd. Sądzę więc, że ze strony „paddingu“ niebezpieczeństwo nam nie grozi, raczej może — ze strony niektórych amatorów tej angielskiej potrawy.

Trudno mi zrozumieć, dlaczego „procenta“ — „procent“ chce p. inż. Piotrowski zastąpić formą „procenty“ — „procentów“, skoro w tym przypadku istnieje od dawna ścisły odpowiednik polski w postaci „odsetek“. Czy warto się trudzić nad poprawianiem błędnej formy gramatycznej wyrazu pochodzenia obcego, jeśli mamy do dyspozycji równoważność wyrazu polski?

Słusznie pokpiwa p. inż. Piotrowski, w zakończeniu swego katalogu, na temat słów zbędnych i bezsensownych, wstawianych w potoczne zdania („panie“, „prawda?“ i inne), ale i tu nie obeszło się bez potknięcia. Autor katalogu podaje taki przykład: „Dlaczego, Maryśku, nie znasz, panie, lekcji?“. Nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć, by ktoś miał pretensję do ucznia, że nie zna lekcji. Zawsze bowiem chodzi o to, czy uczeń umie lekcję, czy też jej nie umie.

Tak oto z 36 „błędów językowych“, wyszczególnionych przez autora rejestru, zaszepiliem, tylko „mimoходом“, nie wgrzyżając się w lingwistyczne subtelności, osiem pozycji. Nie wątpię, że kompetentny językoznawca miałby w tych sprawach daleko więcej do powiedzenia i dlatego wnoszę, iż ciężki trud oczyszczenia polskiego języka z błędów i obcych jego duchów należałoby należyć pozostawić wyłącznie odpowiednio przygotowanym fachowcom, gdyż najlepsze intencje nie zrównoważą braków dyktantyzmu, a dyktantyzm w każdej dziedzinie przynosi więcej szkody niż pożytku. Niewiele skorzysta polszczyzna, jeśli za-

miast „partycypować“ będziemy „przyjmować udział“ w dorywczym, amatorskim dyskusjach językowych, a ich wyniki nie zastąpią solidnych i fachowych lekcji, które należało by nie tylko „znać“, ale umieć na pamięć.

Bolesław Dudziński (Łódź)

## LEGENDY JALU KURKA

Do redaktora „Odrodzenia“

W numerze 19 „Model Rzeczypospolitej“ Jalu Kurkę ogłosił felieton pt. „Góra Kościuszkowska w Australii“, w którym zajmuje się działalnością dr. Edmunda Pawła Strzeleckiego, podróżnika i odkrywcy, szeroko opisując wyprawę Strzeleckiego w głąb Alp Australijskich. M. i. pisze Kurkę: „Od dwóch miesięcy wyprawa Strzeleckiego maszerowała w górach i wierzchołki, aby wynosić na kolejne szczyty nieugięty poręcz człowieka... Na drugi dzień słonecznej pogody zdobył Strzelecki szczyt w nowo odkrytym łańcuchu, nie tniejący dotychczas stopą człowieka... Słońce gościło na najeźonej łańcucha okolicznych szczytów, a wszystkie doliny naokoło tonęły w mgłę zmierzchu, kiedy Paweł Edmund Strzelecki stanął na najbardziej wyniosłym miejscu Australii — i pomyślał o Polsce... Oto podróżnik polski stawia Kościuszkę pomnik skalny na wysokości 2241 metrów... Tu na tej górze dokonał się najbardziej wzruszający moment w życiu Strzeleckiego“.

Zarówno ze względu na osobę autora, jak i na pismo, w którym utwór Kurki się pojawił — uważam za konieczne wyjaśnić, że relacja Kurki nie pokrywa się z rzeczywistością. Strzelecki odkrył wprawdzie dnia 25 lutego 1840 r. masyw Kościuszkowski w Alpach Australijskich (ale nie w Górach Błękitnych, jak mu to imputuje Kurka, gdyż są to dwa odrębne łańcuchy górskie, ponad 300 km od siebie oddalone), ale bynajmniej nie kwapił się nań wejść, był to bowiem wyłącznie podróżnik i badacz, a nie turysta górski. Nie znam niestety dokładnego, oryginalnego sprawozdania Strzeleckiego z jego podróży („A Physical Description of North-South-Walles and Van Diemens Land“, London 1845), powołuję się jednak na dobre źródło: Stanisława Zielińskiego „Mały słownik pionierów polskich kolonialnych i morskich“ (Warszawa, 1932). Kurka mógł się „być“ o tym dowiedzieć również z nowszej polskiej literatury alpinistycznej, która, przynajmniej Strzeleckiemu odkryciu, nigdy mu nie przypisywała, że pierwszy wszedł na górę Kościuszkę — 2234 m. W istocie na Mount Tamsend, najwyższym szczycie w masywie górskim Kościuszkowski łańcucha Munlong (tak należy określać poprawnie sytuację tej najwyższej góry w Australii), po raz pierwszy stanęła ludzka stopa dopiero w 1893 r.

Polskie zaślęgi w odkrywaniu i zdobywaniu świata są nadto poważne i za dobrze znane, by im dorabiać historie wzięte z powietrza. Sam zaś Strzelecki był zbyt doświadczonym i zasłużonym podróżnikiem (jedną z gór w centralnej Australii nazwali Anglicy „Mount Strzelecki“, a jedną z nielicznych prawdziwych rzek w Australii Południowej „Strzelecki Creek“), by mu niepotrzebnie przypisywać zaślęgi, których nie miał.

J. A. Szczępański (Kraków)

## WOŁANIE NA ALARM!

Do redaktora „Odrodzenia“

Ośmielam się pisać ten list jako wyrażyciela myśli szerszych mas nauczycielskich. Z wielkim uczuciem radości i podziwu przyjmujemy wiadomości o — dzieł ukazujących się książkach, bądź to z dziedziny naukowej, bądź z beletrystyki współczesnej.

Wiele o nich czytamy recenzji w tygodnikach literackich (tylko je możemy kupować i prenumerować), czasem oglądamy przez szczyby wystaw księgarskich, a później pożera nas chęć posiadania i przeczytania, choć nie dająca się nigdy przybliżyć do kształtu realnego. A chyba jest ona całkiem zrozumiała w naszym zawodzie, realizowanie jej bowiem ułatwiłoby nam nieraz pracę, pozwoliłoby na owocniejszy występ i przyniosłoby lepsze rezultaty. Niestety nader ciężkie warunki materialne uniemożliwiają wniknięcie się w błąd życia literacko-naukowego. Jesteśmy po większej części pozabawieni radia oraz wszelkich kulturalnych przyjemności — pozostaje nam tylko i jedynie książka. Cóż kiedy wiadomości rzeczywistości pozbawia nas i tej pochy.

Trzeba naprawdę samemu to przeżywać, by sobie zdać sprawę z ogromu rozczarowania i gorczy. Dlaczego my nauczyciele, może najwięcej potrzebujący książki, nie możemy jej kupić? Oto nasza wspania, bardzo bolesna skarga. Czy redakcja „Odrodzenia“, dobrze rozumiejącą nasze potrzeby kulturalne, nie zechciałaby przyjąć nam z pomocą, czy nie ułatwiłaby nabywania książek po cenach takich, po jakich nabywają je księżki garze w spółdzielni „Czytelnik“? Może ta pomoc przybrałaby inną formę — w każdym razie, czy nie można by zniżyć zaradzić, zniżyć, które musi się odbić w przyszłość na młodych poręczonych nam do wychowania pokoleniach. Prośba moja jest już nie samą prośbą, ale wołaniem na alarm!

Zofia Farowa (Będków) nauczycielka szkoły powszechnej

# TYDZIEŃ BIBLIOGRAFICZNY

## HISTORIA I FILOZOFIA

Józef Kostrzewski, prof. U. P. Prastowiańska. Zarys dziejów i kultury Prastowian. Poznań, „Księgarnia Akademicka“, 1948; str. 164 i 4 n. z 68 rytmami; 1. mapkami. — 180 zł.

Tadeusz Kościuszkowski, 1746—1946. Rzeszów. Jednodniowa, Rzeszów, 1946; str. 37.

Dr doc. Władysław Kowalenko. Tajny uniwersytet Ziemi Zachodniej w latach 1940—1944. Poznań, 1946; str. 94 i 2 n.

Kazimierz Piwarski. Dzieje Prus Wschodnich w czasach nowożytnych. Gdańsk. Bydgoszcz, Instytut Bałtycki, 1946; str. 384.

Pamiętnik Instytutu Śląskiego. Seria II. N. 1. Józef Feldman. Problem polsko-niemiecki w dziejach. Katowice, 1946; str. 173 i 1 n. — 180 zł. — Nr 2. Kazimierz Popielek. Trzecie ślaskie powstanie. Tamże; str. 213 i 1 n. i 2 mapki. — 180 zł.

Pamiętnik Instytutu Śląskiego. Seria II. T. I. Relacja Ibrahima Ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich. Wydawnictwo Akademii Umiejętności, 1946; str. 162 i 12 XII tablic.

Maria i Zygmunt Wojciechowscy. Polska Plastów — Polska Jagiellonów. Poznań, 1946; str. 480. — 300 zł.

Janusz Wollński. Król Jan III Sobieski. W 250-letnią rocznicę zgonu. Warszawa, Trzaska-Ewert-Michałski, 1946; str. 39 i 1 n. — 60 zł.

Biblioteka Popularno-naukowa. Nr 1. Stanisław Zajackowski. Łódź, „Książka“, 1946; str. 138 i 1 mapka. — 40 zł.

Dr prof. Tadeusz Czeżowski. Główne zasady nauk filozoficznych. Wydanie drugie, przejrzone i uzupełnione, pod redakcją prof. Tadeusza Czeżowskiego. Toruń, rękopis przededyktki filozofii. Toruń, „Księgarnia Naukowa“, str. 198 i 2 n. — 260 zł.

Władysław Tatarłowicz. Historia filozofii. Tom pierwszy. Filozofia starożytna i średniowieczna. Wydanie trzecie, przejrzone i uzupełnione. Kraków, „Czytelnik“, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1946; str. 415 i 1 n. i 14 fot. — 550 zł.

## PUBLICYSTYKA

Wł. Brus. Urojenia i rzeczywistość. Prawda o ZSRR. Wydanie II. Łódź, „Książka“, 1946; str. 117 i 3 n. — 30 zł.

B. Danilewski, J. Koliński, A. Rogalski. Niemcy rozgromione? Poznań, „Wydawnictwo Zachodnie“, 1946; str. 326 i 2 n. — 300 zł.

Bolesław Drobner. Drogowoskazy cz. I. O teki molch wspomnień. Kraków, 1945; str. 172 i 2 n. — 50 zł.

# WYSTAWA W KRAKOWSKIM TOWARZYSTWIE SZTUK PIĘKNYCH

W dniu 13. XI b. roku otwarto w krakowskim Towarzystwie Sztuk Pięknych dwie wystawy: wystawę pamiątkową Wandy Komorowskiej oraz wystawę „Młodych Plastyków”. W ten sposób się spotkały w gmachu na Placu Szepeńskim dwa różne światy, z jednej strony bowiem sztuka „fin de siècle'u”, szkoły monachijskiej i paryskiej Akademii Colarossiego, w której studiowało sporo malarzy polskich, urodzonych około roku 1870 — z drugiej, sztuka pokubistyczna, wciąż jeszcze praktykowana w środowisku paryskim — i polskim.

Wanda Komorowska, urodzona w roku 1873 (zmarła w r. 1946), należy jeszcze do pokolenia Boznańskiej, do której zbliża się niekiedy w swoich obrazach, między innymi przez swe związki ze szkołą monachijską — i tematy malarskie. Podobnie jak Boznańska uczęszczała na kursy im. Baranleckiego w Krakowie, potem studiowała w Monachium, w szkole rytowniczo-litograficznej prof. Bröckhoffa, wreszcie u prof. Renarda we wspomnianej Akademii Colarossiego i zakładzie graficznym Boutela. Po powrocie do kraju osiadła w Krakowie. Maluje portrety i kwiaty farbami olejnymi, a także techniką pastelową. Przede wszystkim zaś uprawia grafikę, a mianowicie akwafortę, litografię, zwłaszcza zaś akwatinę, w szczególności barwną.

Jej malarstwo, w zasadzie realistyczne, interesuje dzisiaj jako fragment historii, jako skromny przyczynek do malarstwa schyłku XIX wieku z tym jeszcze, że nie ma ono nic wspólnego z impresjonizmem, a genetycznie łączy się z akademicką sztuką francusko-monachijską. Z wystawionych portretów, pod względem kolorystycznym dość obojętnych, wyróżnia się „Portret siostry”, określony zespołem szarości i błękitu, który przywołał na myśl wczesne obrazy Boznańskiej. Spośród prac graficznych i rysunkowych wyróżniają się drobne szkice rysunkowe, niektóre studia głów i barwne akwaforty przedstawiające kwiaty, utrzymane w jasnej, zgaszonej tonacji, co — z zastrzeżeniem proporcji — budzi skojarzenia z olejnymi kwiatami Boznańskiej. Pomimo tych zaszczytnych związków, nie można przymknąć oczu na fakt, iż malarstwo W. Komorowskiej zbliża się czasem do granicy dyletantyzmu.

W wystawie „Młodych” biorą udział: Tadeusz Brzozowski, Maria Jarema, Tadeusz Kantor, Jadwiga Maziarzka, Kazimierz Mikulski, Jerzy Nowosielski, Ela Rosenstein, Jerzy Skarżyński i Bogusław Szwacz. Z artystów tych najbardziej samodzielnym, najmniej schematycznym i programowym wydaje się T. Brzozowski, którego duża kompozycja figuralna „Wagon” odbija się silnie od prac sąsiednich przez odrzucenie dekoracyjnego konturu, przez napięcia walorowe oraz użycie nasyconych i lśniących kolorów: zieleni, czerwieni i ciemnego błękitu. Barwy te dynamizują malowidło, jako wyraz ener-

gii, i śmiałej decyzji autora do użycia drastycznych środków ekspresji. — Obrazy M. Jaremy stanowią kontynuację jej dawniejszej, jak się zdaje, już ustalonej manieri, której podstawą jest albo zupełna deformacja obiektywnego przedmiotu, np. jak gdyby groteskowe „zmaszynizowanie” człowieka, albo całkowite „rozkałkowanie” postaci, co prowadzi do wizji swoistego „katastrofizmu”. — Wśród kompozycji T. Kantora spotykamy dwa szorstko malowane obrazy, zgodne z jego dawniejszą metodą pracy, mianowicie „Kobietę z koszykiem” i „Gołębiarzy”, oraz pięć dużych płócien wykonanych pod wpływem Fougerona, choć na ogół bardziej abstrakcyjnych. Niektóre z nich, skonstruowane logicznie, okonturowane czarną linią, sugerują ołowiane ramy witrażowe; pod względem kolorystycznym raczej jednolite, posiadają niewątpliwie znaczenie dekoracyjne (w rozumieniu węższym niż u Wölfflina). Stadium atomizacji postaciowej przedstawia się w różnych obrazach rozmaicie. Dobrze związanej „Pracze”, skomponowanej wzdłuż osi pionowej, przeciwstawiają się analityczne elementy kompozycji „Sprzedający”. W „Pracze” uderza jeszcze jakby „realistycznie” (w sto-

unku do idealistycznej formuły całości) namalowana woda w celuże.

Wpływ Fougerona wprost rzuca się w oczy podczas oglądania obrazów o talentowanego zresztą B. Szwarca. Nadużywanie konturu witrażowego — gatunek deformacji w gruncie rzeczy secesyjnego pochodzenia, choć w tym przypadku mówi się o relacjach z średnio-wiecznym freskiem i witrażem — ciężki, sinawo-fioletowy koloryt, kierunkowe skupienia liniowych elementów, specyficzny prymitywizm itd. itd., wszystko to kieruje myśl ku francuskiemu malarzowi, poznanemu przez Kraków kilka miesięcy temu na wystawie malarstwa francuskiego. „Don Kichot” Szwarca przypomina niemiecki, w każdym zaś razie niełaciński ekspresjonizm, a jego najbardziej może samodzielną pracą wydają się czerwone, pastelowe „Bizony”, odwołujący motyw z okresu malarstwa jaskiniowego, może także odległa reminiscencja odrealnionego Gauguina, w każdym zaś razie obraz o znacznej wymowie dekoracyjnej.

J. Maziarzka wystawiła ponury w kolorze, silnie zdeformowany, potworkowaty „Portret” i pejzaż, utrzymany w równie minorowej gamie, złożony

z małych domów i kominów, rozmieszczonych w intencjonalnej, płaskiej przestrzeni. Obydwa obrazy wyglądają jak namalowane na chropawym tynku, co zresztą charakteryzowało także dawniejsze prace Kantora. Jej „Szwaczka” natomiast przypomina „Dziewczynkę” Fougerona.

K. Mikulski przedstawia trzy interesujące kolorystycznie obrazy, spośród których wyróżnia się wertykalnie spiętrzona, rytmiczna kompozycja pt. „Tragedia rodzinna” o wysokim stopniu deformacji, produkt surrealistycznej wyobraźni, zmateriaлизованej przy pomocy złotych i zielonych kolorów, uzupełnionych różniami, a kulminujących w akcencie pomarańczowego koła.

J. Nowosielski podobnie jak Brzozowski — przewycięża schemat czystej abstrakcji (stopnie tej „czystości” bywają u członków grupy oczywiście rozmaite) i tworzy obrazy kojarzące się łatwo z przedmiotem. W przeciwieństwie jednak do Brzozowskiego używa jasnych i lekkich na ogół kolorów z supremacją szarawej bieli, co łącznie z prostotą obrazowej struktury prowadzi do nadrzędnego płętna jakościowego, odmiennego niż u jego kolegi. Zamiast dynamiczno-

ści, cechuje go spokój, zamiast napięć barwnych niemal kolorystyczne ubóstwo.

W pracach J. Skarżyńskiego wizja kubistyczna przejawia się bodaj najsilniej. Cechuje go bowiem skłonność do geometrii, do zygzakowatych, wewnętrznych podziałów formy, do ostrych kątów i załamania wypełnionych nieco surowymi plamami barwy głównie żółtej, a także zielonej, niebieskiej i czerwonej. Jego akty i martwe natury posiadają jednolity charakter, łączący je w wyraźną stylistycznie całość.

W związku z tym pokazem nasuwa się wiele refleksyj, które trudno uwzględnić w krótkim, sprawozdawczym omówieniu. Poprzestaną więc na kilku tylko uwagach ogólnych. Co do samych wystawców, wydaje mi się, że jest pośród nich kilku istotnie utalentowanych. Niepokoi jednak ich skłonność do zbyt szybkiej recepcji. Obrazy Fougerona i w ogóle pewnej grupy malarzy francuskich poznaliśmy dopiero kilka miesięcy temu, a już niektóre ich cechy odnajdujemy bez trudu u młodych malarzy polskich, i to w dość wiernym wydaniu. Trudno też pogodzić się z manifestem „Młodych”, opublikowanym we wrześniowym numerze „Twórczości”, albowiem ich sztuka nie wydaje się istotnym postępem w stosunku do Picassa i malarstwa pokubistycznego sprzed pierwszej wojny światowej. W odniesieniu do nich przychodzi mi wszystko na myśl wyraz „passeizm”. Nie podzielam również wiary wyznawców tej sztuki, że „przemawiając do świeżej, nieuprzedzonej wyobraźni klas pracujących, wyraził te klasy lepiej i pełniej niż wyrafinowana... sztuka akademickich epigonów impresjonizmu...”. Nie twierdząc, że akademicka sztuka potrafi spełnić wyżej określone zadanie, żywię uzasadnione, jak mniemam, wątpliwości, czy i przedstawione nam malarstwo „Młodych”, również nie pozbawione swoistej „wyrafinowania”, a pozbawione dostępnego (nie tylko masom, lecz nawet wyższemu grupom społecznym) środkom wyrazu, potrafi sprostać postawionemu sobie zadaniu. Skłonny byłbym natomiast przyznać rację jej zwolennikom pod tym względem, że wciąż jeszcze jest ona wyrazem swego czasu, a przynajmniej pewnych światopoglądowych form współczesnej rzeczywistości, określonych zapewne trafnie przez René Huyghe'a, głównego konserwatora galerii Louvre'u i dyrektora czasopisma „Quadrigue”, jako „czas absurdu”. Z głosem wymienionego uczonoego o tyle choćby warto się liczyć, że reprezentuje on ważki odłam intelektualistów francuskich. Wśród członków komitetu redakcyjnego „Quadrigue” spotykamy bowiem między innymi takie nazwiska, jak: Mauriac, de Broglie, Joliot-Curie, Bonnard, Matisse, Colette i August Perret. Należał także do niego zmarły niedawno Paul Valéry.

Tadeusz Dobrowolski

## FRASZKA NA PRZYJACIOŁY

**JULIAN PRZYBOS NARZEKA:**

Mnie zaś, który uniesion młodością zapalem  
Wierszkoleją za grzechy podobno zostalem,  
Zawsze ten rym przeklepty najwięcej zatrudnia;  
Daremnie go od świtu szukam do południa,  
Nigdy mi podług myśli nie się nie udało,  
Kiedy potrzeba czarno, to wypada biało.

Tak, cokolwiek bądź Muza moja śpiewać zaczęła,  
Wszystko mi, jak na przekór, wypada opacznie.  
Szukając długo rymu kiedy nie mi wyskam,  
Z gniewu, wstydu, rozpacz, nieraz pióro ciskam;  
A zlorzeczając po stokroć jęzozom Hejlikonu,  
Przysięgam, że nie będę rymował do zgonu.  
Lecz ten gniew tak na krótko we mnie się zapala,  
Jak w grzechu Krasickiego, co podarł Kinała:  
Kiedym skończył przekleństwa, zrzędenia i żale,  
Rym przychodzi, gdy o nim już nie myślę wcale;  
Zaraz i Feb i cały z nim orszak Parnaski,  
Powracają z łatwością do straconej łaski;  
Znowu mi poetyckim ogniem głowa gore,  
Znowu się do papieru i do pióra biorę;  
A cześć moje przysięgi ścierając z pamięci,  
Zlewam przy każdym wierszu, aż się rym nakreśli.  
Gdyby przynajmniej Muza moja mniej zuchwała  
Zimny jaki przymiotnik dla rymu cierpiła;  
Czyniłbym tak jak inni, a nie łamiąc głowy  
Umiąłbym nadsztukować wiersz próżnymi słowy.  
Tak na przykład Filidę chcąc wielbić powaby,  
Pisałbym, że jej żadna nie w ród wnalaby.  
Chcąc odmalować obraz ślicznej Hersylii,  
Może bym na to trafił: bielsza od lilii.  
Napchałbym gwiazd błyskotnych, księżyców  
srebrzystych,  
I niebios złotolitych i lejców ognistych:  
Tak bez sztuki, dowcipu wiersz kleciłbym snadnie;  
Gęste bym kładł wyrzutnie, zamiennie, przekładnie.  
I na język, na gładkość, na rymy mniej dbały  
Zarzucałbym księgarznie moimi szpagalą.

Ale ja, który pisma bazgraczy zbrzydziwszy  
Rad bym wszędzie położyć wyraz najwłaściwszy,  
Nie cierpię, żeby jaki dodatek jałowy  
Przybył dla napelnienia częstej wiersza połowy;  
Tak zaczynając dzieło po dwadzieścia razy  
Jeśli cztery napiszę, trzy zmażę wyrazy.

Po trzykroć pamięć tego niech będzie przeklęta,  
Który na myśli swoje pierwszy włożył pęta.  
A niewolniczy słowom wskazawszy porządek  
Z rymami żądał jeszcze polączony rozsądek!

**TADEUSZ BREZA WZDYCHA:**

O gdyby nie to na mnie nieszczerze rzemiosło,  
Co mi zawiąże, niepokój i pracę przyniosło,  
Nie doświadczyłbym nigdy, co to los opaczny,  
Byle mi wino stare, byle obiad smaczny;  
Wśród miękki rozkoszy pedząc słodkie lata,  
Wiodłbym swobodnie życie tustego Pralata;  
W spokojności bym duszę do nieba sposobił,  
W nocy bym odpoczywał, a w dzień nic nie robił;  
Wolne od namietności, nieprzystępne dumie,  
Łatwo się moje serce ograniczyć umie,  
Od dawna gardząc zmiennej bogini kościółem  
Dumnym jej polubieńcom bić nie idę czołem.  
Pewnie byłbym szczęśliwy, gdyby wyrok nieba  
Nie przeczynał mi służyć pod zaścianem Feba.

**KAZIMIERZ WYKA WYZNAJE:**

Ale od tego czasu, gdy mię zapal dżiki  
Wtracił, móżg pomieszawszy, między rymowniki  
I gdy, co jeszcze gorsza, w tym dzikim zapale,  
Uwiałem się parodie pisać doskonale,  
Zgarbiony nad stołkiem i lokciami wsparty,  
Kiedy przekreślał wiersze i drę cale karty,  
Licząc na palcach zgłoski klnę wiersze i piszę,  
Mówię, że nie masz życia, jako życie mnisze.  
O szczęśliwy Kazmierzu! Twoja płodna praca  
Co miesiąc „Odrodzenie” fraszkami wzbogaca.  
Prawda, że w twoim wierszu twardym i jałowym  
Zdajesz się walczyć z gustem i rozsądkiem zdrowym,  
Lecz kiedy są na końcu wierszów rymy wszędzie,  
Cóż to szkodzi, że reszta trochę na wspank będzie?  
Mimo to jednak, drukarz twoje dzieła kupi,  
Sprzedadzą je księgarze, czytać będą głupi.

Wierszem Alojzego Felińskiego „Do Stanisława Trembeckiego” (Naśladowanie satyry Boileau, „Rare et fameux Esprit”) — poe-  
towieściopisarza i krytyka obdzielili

Wacław Kubacki

## „KRÓL LEAR” W LONDYNIE



Zespół Old Vic wystawia w Nowym Teatrze w Londynie „Króla Leara”. Sztukę reżyserował Laurence Olivier, który sam gra również trudną i potężną rolę Leara. — Na zdjęciu: Lear obłąkany w rozmowie z Earlem Gloucesteru.

## WIELKI CZY MAŁY?

„Kuznica” ogłosiła felieton o gen. de Gaulle. „Wielki czy mały? więzień z Elby czy więzień z Ham? prawdziwy czy podrabiany?” — pyta.

I przypomina: „w aurze generała jest słabość, którą czują nawet wierni”. General czeka. A „wielki stryj przed Brumairem, mały bratanek przed grudniem, gruby wódz przed marszem na Rzym i chudszy przed pożarem Reichstagu — nie zwlekali tak długo”.

Z tego kunktatorstwa „Kuznica” wnioskuję, że de Gaulle to tylko „dzielny dowódca dywizji” i nic więcej. Słowem: nowy Boulanger, kabotyński generał, którego odprowadzono z kwitkiem, a nie ktoś na miarę dyktatora. Może tak, może nie. Bo jest i trzecie rozwiązanie: że niecierpliwi padają, a Salazar rządzi już lat kilkanaście. Piłsudski też zwlekał, kluczył, odmawiał i wytrzymał swoich zwolenników pięć lat na uwięzi — a rządził aż do śmierci.

Nie o to więc chodzi, czy de Gaulle jest osobieście wielki czy mały, i nie od jego rozmiarów psychicznych zależy przyszłość polityczna Francji. De Gaulle płynie na fali pewnych sił, tych samych, które Piłsudskiego z Sulejówka zanoszą do Belwederu. Faszyzowanie Polski nastąpiło wskutek słabości politycznej lewicy i rozbicia frontu robotniczego. Socjaliści francuscy stoją na rozdrożu: Thorez przeważa w umysłach robotników francuskich nad Blumem, a Blum bez Thoreza nadstąpiłby drogę generalowi. Wszystko zależy od jedności klasy robotniczej.

jaszcz

## „KRÓL LEAR” W LONDYNIE



Lear u szczytu obiedu — jedna z najbardziej wstrząsających scen teatru szekspirońskiego, w godnej sobie interpretacji Oliviera.